



ROK LVIII

NR 35

PISMO TYGODNIOWE I LUSTROWANIE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 29 SIERPNI 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Kobieta w obronie porządku i prawa—*Dr. Macko*. Odpowiedzialność za Polskę—*M. K.* Stylizacja czy prawda?—*Airela*. O narzeczeństwie moskiewskiem Mickiewicza—*R. M. Blüth*. Don Karlos (poemat dramatyczny)—*Fryderyk Szyller*, przekład dla Teatru Narodowego wyk. *K. Iłakowicz*. Sarenka—*Grazia Deledda*. Zatrzymany zegar (powieść) c. d.—*Wanda Młłaszewska*. Piękna Pamela (c. d.)—*K. Bielańska*. Zagadnienia psychiki u zwierząt—*Janina Maszewska Knappe*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Kurs wakacyjny w Zakopanem—*X.* Strzałki—*al.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Najmodniejsze paski. Auto.—*W. D.* Kilka słów o kilimach—*Marja Zawadzka*. Reforma gospodarstwa kobiecego—*F. S.* Mleko homogenizowane. obiady na maszynie—*Pani Elżbieta*. Grzyby—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje działu praktycznego. Nadesłane do Redakcji. Dodatek powieściowy „Naja Tripudians” (c. d.)—*Annie Vivanti* (przeł. z włoskiego Tadeusz Jakubowicz) ARKUSZ WZORÓW

KOBIETA W OBRONIE PORZĄDKU I PRAWA

Trzydzieści wyszkolonych funkcjonariuszek polskiej policji państwowej rusza na arenę życia społecznego do zdecydowanej walki ze złem. Chwila ta zdaje się być epoką pod bardzo wielu względami. Z punktu widzenia społecznego ten pierwszy hufiec policji kobiecej jest świadectwem i efektem pracy tego kościoła, który, jako motto swej ewangelji, postawił zasady polepszenia stanowiska społecznego kobiety.

W dziejach rozwoju życia społecznego ludzkości jest wiele subtelnych tego rodzaju momentów przełomowych, które napozór nadawałyby się tylko jako libretta do legend, albo jako tematy poezji, a w skutkach jednak zaważyły może istotnie w historii narodów pierwotnych, starożytnych, jako też i obecnie żyjących. Krótko się streszczając, przez kobietę przyszło na świat potępienie i cud zbawienia. Ta wyraźna skrajność i nieskończoność duszy kobiecej czyni ją „sfinksem” dla rozumu przyrodnika nieprzystępnym.

Naturalnie, nieskończoności nie można mierzyć czemś tak skończonym, jak rozum; byłoby to naiwnością poczciwego profesora. Na nieskończoność jest tylko jedna miara t. j. „Nieskończoność”. Tą tylko miarą można pojąć kobietę i istotę kobiecości, w tej atmosferze i w tym wymiarze należy ją

szukać. Natura polska ma to już do siebie, że często znajduje się w tym „czwartym wymiarze” i tam spotyka się z duszą kobiety, piękniejszą nad marzenie poety, zdolną do poświęceń, a strojną w purpurę królewską podziwu godnej „Miłości”.

Spółczeństwo i narody, które umiłowały raczej „złotego cielca”, które w pogoni i trosce za fortuną materialną wkopały się w głąb ziemi, gdzie nie dochodzi światło prawdziwego słońca, niezdolne są wznieść się na ową mleczną drogę gwiazd, prowadzącą w nieskończoność. Dlatego nie mogą pojąć ani ocenić należyte duszy kobiecej. Na ziemi jej nie znajdzie — ziemia bowiem nie jest jej mieszkaniem.

Dotychczas nie wykorzystywały społeczeństwa tych wartości kobiety, wykorzystywały raczej jej słabość fizyczną, odsądzając ją niejednokrotnie od praw człowieka i obywatela.

Może to nie wyłączna wina mężczyzny, może to tylko okres przewagi siły fizycznej nad siłą moralną, może to i współwina kobiety.

Jest w tem dużo prawdy, że dopóki kobieta sama nie wyzwoli się, trudno będzie ją wyzwolić społeczeństwu. Tak mówi polskie społeczeństwo, które pragnie widzieć w kobiecie towarzyszkę mężczyzny, matkę rodziny i obywatelkę Państwa bez

żadnych ograniczeń i które pragnie, by kobieta była duszą jego rycerskiej duszy.

W drodze do moralnego odrodzenia społeczeństwo polskie spotkało także kobietę, do której wyciąga szczerą dłoń.

Świadczy o tem historia narodu polskiego i chwile odrodzenia Polski. Społeczeństwo i rząd Polski wyczuwają się wzajemnie i otaczają subtelną istotę kobiety troskliwą opieką, znosząc wszystkie dotychczasowe ograniczenia względem kobiety i popierając pewnego rodzaju samorząd i autonomję świata kobiecego.

Jednym z objawów tego stanowiska rządu i społeczeństwa jest wspomniana organizacja policji kobiecej.

Jak słusznie podnoszono na ostatnim kongresie Międzynarodowych Rad Organizacji Kobiet w Washington'ie, Polska jest jedynym z mocarstw, które zorganizowały kadrę państwową policji kobiecej; kongres uważał tę okoliczność za wyraz zaufania do kobiety i prawdziwego równouprawnienia kobiety. Ten krok Polski stawiano za przykład innym cywilizowanym państwom.

Cały cywilizowany świat przekonywa się powoli, że Państwo polskie szczerze i dokładnie wykonywa swe moralne i pozytywne obowiązki tak w stosunku do swego społeczeństwa, jako też i w stosunku do innych państw, że kontrahent taki nigdy nie zawiedzie i że na nim z zaufaniem polegać można. Ten ustalający się kredyt moralny Polski—to świetlana przyszłość dla Państwa i narodu polskiego. Z dumą więc podkreślić należy, że moment zorganizowania kadr policji kobiecej, narazie napozór błahy, jest jednym atomem chwały polskiej, której echa dochodzą za morza i oceany i utrwalają u sąsiadów moralny kredyt dla Państwa Polskiego.

Z drugiej strony rząd i społeczeństwo pragną korzystać z pracy kobiet, powierzając im z całym zaufaniem pieczę nad dobrem ogółu oraz jednostki, i pokładają wielką nadzieję w tej nowej organizacji,

ufając, że nie zawiodą się w tym wypadku na kobiecie. Choć ciężkie zadania czekają kobietę na posterunku policji, wierzymy niezłomnie, iż stanie ona na wysokości zadania.

Interwencja w wypadkach przestępczości u kobiet i dzieci oraz w wypadkach przestępstw przeciwko kobiecie i dziecku, prewencja w obydwóch wypadkach przestępczości i współdziałanie z policją męską w prawach ogólnych — oto zasadnicze zadania kadr policji kobiecej.

Polityka i socjologia kryminalna domagały się oddawna, by do tej „koronkowej“ pracy, pracy noszącej także znamię społeczne, używać delikatnych rąk, zwłaszcza w stosunku do dzieci, na których duszy, jak na wosku, wyciska dozgonne znamię ręka ciężka. Dlatego i oprócz ogólnego wyszkolenia starano się u frekwentantek pobudzić instynkt społeczny, który niezbędny jest do należytego i celowego wykonania powyższych zadań.

Podniosła chwila uroczystego zakończenia kursu i rozdania świadectw pozwala rokować wielkie nadzieje. Postęp, naogół bardzo dobry, dyscyplina wojskowa, cenzus naukowy wysoki, niejednokrotnie uniwersytecki. Idea czynnego udziału w walce społeczeństwa ze złem zaprowadziła je w szeregi policji państwowej.

Na piersiach n'ejednej przypięte „Orleńta“ i Krzyże, a w oczach wszystkich zapał do pracy i gotowość do poświęceń świadczą o wartości moralnej tej pierwszej kadry, która, owiana i ożywiona gorącą miłością społeczną, staje w obronie porządku i prawa. Na zakończenie uroczystości trzykrotny toast na cześć Najjaśniejszej Rzeczypospolitej zadokumentował przynależność tej kadry, określił bliżej najwyższe Dobro, dla którego chcą pracować i na ołtarzu którego pragną poświęcić nawet swe młode życie — życie, które wie dzie je obecnie w cierniste aleje róż, pełne zagadek i zawiłych ścieżyn, na których wielu jest błądzących.

Dr. Macko

ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA POLSKĘ

Od kilku tygodni jestem nieustannie niemal świadkiem, jak powierzchowna jest wśród Polaków świadomość, że każdy osobnik — poza tem, że jest panem lub panią, Witoldem czy Jackiem, nosi fatalne znamię odrębności narodowej, który to fakt stanowi źródło licznych obowiązków.

Miesiąc już mieszkam wśród Kaszubów. Osluchiłam się z ich gwarą i kiedy pani Rozalja Dietlowa, Ditlawką pospolicie zwana, mówi: „Żeby ja to wczora miała wiedzone, toby ja Pawelka nie miała dzy-

saj na sztrand poslane“¹⁾, wiem, co ukrywa w tym logogryfie. Rozmawiałam wiele razy z gospodarzami i sąsiadami; wiele rozmów słyszałam z boku. Obcość i odosobnienie tych ludzi w naszym kraju są mi dziś dokładnie wiadome: nie czują się jeszcze w Polsce u siebie. Stosunek Kaszuba do nowego państwa, w którym sążone mu teraz zostało rzemiosło swoje kontynuować, podobny jest do uczuc

¹⁾ „Żeby to wczoraj była wiedziała, nie posłałabym dziś Pawelka na plażę“.

podróżnika, który wylądował na nieznanym brzegu: do rzeczywistości odnosi się chłodno, bez uprzedzeń i bez sentymentu; ogląda, krytykuje i czeka. Każdy Polak, który w obecnej dobie zetknie się z gdyńskim czy helskim rybakiem, będzie mimowiednie jednym argumentem więcej za Polską lub przeciwko niej. W tych warunkach Polak świadomy powinien zadać sobie pytanie: czy na usynowienie Kaszubów Polsce zależy, czy nie? Czy jest dla kultury polskiej ko-

nieczne, żeby łowca flonder, człowiek z twarzą wikinga, z mięśniami i ze śmiałym sercem żeglarza, żeby ten człowiek, co na kobietę mówi „bialka“, na izbę „komora“, a jeszcze wczoraj po każdy łut soli „bylidzony“²⁾) doniemieckiego Gdańska—żeby on zapragnął posłać syna do polskiej szkoły morskiej i żeby polska pomyślność stała się jego pomyślnością? Jeżeli odpowiedź wypadnie twierdząca, Polak świadomy stanu, jadąc na Pomorze bez jasnego poczucia, że będzie tam reprezentował Polskę. Będzie ją reprezentował swoim najpowszedniejszym gestem, będzie jej albo jedna wyznawców, albo przysparzał wrogów wewnętrznych. Dlatego, ktokolwiek wakacje chce bez reszty poświęcić egotyzmowi, kto chce jawnie romansować z cudzą żoną, w izbie stwarzać artystyczny nieład w rodzaju nalewkowskiego home'u, złote topić w Kasynie, a gospodyni płacić za mleko obietnicą—ten niech raczej skieruje kroki do Deauville, gdzie hotelarzy nie trzeba zdobywać dla żadnej nowej ojczyzny, albo już bodaj do Zakopanego, gdzie górale dawno do wszystkiego przywykli. A przynajmniej niechże ci państwo nie instalują się u rybaków!

W kilka dni po zamieszkaniu w Gdyni, zostawiłam okna na noc otwarte. Nazajutrz gospodyni zwróciła mi na to uwagę tonem wyraźnie ironicznym i bez żadnego powodu widomego dreptała, węsząc, po moim pokoju. Pomyślałam w miejscowym narzeczu: „O co jej się handluje?“³⁾ Po dwóch tygodniach pobytu, kiedy stosunki z gospodarzami ociepliły się znacznie, pani Rozalja powiedziała mi komplement: „Jak to je dobrze, kochanko, że pani w nocy chłopow do siebie przez okno herein nie lasujel...“⁴⁾ Kiwała głową melancholijnie. „Bo doch tak nie jest ładnie... Ja jezdem katoliczka, coreczka je doma, a to te ladne panie z Warszawy („ladny“ znaczy tu raczej „wysokopostawiony“, niż piękny) to tak lubiom chłopow, a te marinarze to tak ale wcing“⁵⁾ durch przez okna skikajom; to je taki wstyd, taki halas...“⁶⁾

Czy można sobie wyobrazić, żeby pani Rozalja, święcie przekonana o prawdzie słów swoich co do „ladnych panów z Warszawy“, posłała „coreczką“ chociażby na wycieczkę krajoznawczą do tejże Warszawy?

Wkrótce potem usłyszałam jeszcze kilka komplementów: że obrus na stole jest możliwy po dwóch dniach używania, że w trzy tygod-

nie nie wszystkie jeszcze szklanki gospodarskie uległy zniszczeniu, że nie klóczę się zęb za zęb przy płaceniu komornego o cenę, która najściślej z góry została ustalona, że mój synek trzyletni ma niektóre kulturalne przyzwyczajenia itd. itd.

Zieleniałam ze zgrozy, chodziłam chyłkiem, jak przestępca, koło męża damy Rozalji, który jest „ode Gdańska“ i po polsku nie mówi. I ze wstydem obracałam w głowie myśl: „A przecież Żydzi tu nie przyjeżdżają, Żydów tu niema wcale. To wszystko my; to my—stuprocentowi Polacy“.

Tydzień temu odbywał się w Gdyni konkurs tenisowy. Przez cztery dni godzinami siadywałam za drucianą siatką, gapiąc się na mądre, śliczne gesty niektórych graczy, śmiejąc się z zabawnych dąsów tych, co mieli „dziury w rakiemie“. Po placu nieustannie biegał Teodor. Podawał piłki. Robił to niezmiernie głupio, leniwie i ze złością. Często beczał. Figura była doprawdy oplakana: brudas z Bożej łaski, z nieprawdopodobną kopą lnianych włosów na głowie, zasmarkany i zezowaty. Przytem autochton.

Naogół dzieci tu są czyste. Ale ten był synem kataryniarza i praczki, najmłodsza latorośl z grona ośmiu głodomorów. Otóż Teodor pracował cztery dni ku sławie polskiego sportu. Kiedyś, wśród największego napięcia gry, kiedy paść miała decydująca „match ball“, Teodor opuścił boisko i usiadł z godnością na ziemi poza ogrodzeniem. Robił publiczność. Na korcie powstał gwałt; „manager“ wyleciał jak z procy za siatkę i wrzasnął: „Teodor, czyś ty zwarzjował? Czemu nie podajesz, smarkaczu?“ Milczenie. Manager, groźny, naciera. Wtedy, przypiętowana zezem, rozbrzmiewa sepleniąca odpowiedź: „Jeden pan mi powiedział: malpa“. Naturalnie, ryk śmiechu. „Cie go, jaki honorowy! Teodor, a w którym miejscu masz honor, kaszubski lordzie?“ Potem tenisista polubownie: „No, wracaj! ten pan tylko żartował“. Teodor wrócił i znowu podawał niezwykle głupio i ze złością. Rzecz działa się pierwszego dnia turnieju. Odtąd przez cztery dni, ile razy zbliżałam się do miejsca zawodów, zdaleka dochodziły mnie wesołe okrzyki chłopców z pensjonatu: „Malpa, gdzie masz honor? Malpa,

chodź tu, dam ci w skórę. Malpa, pocałuj psa w nos. Malpa!...“ Stanowczo Teodor zyskał popularność wśród ziomków z Warszawy. Za którymś tam razem zirytowałam się i uciełam dyskusję na „małpi temat“ z bardzo nobliwie wyglądającym piątoklasistą. Bronił się zajądłem, a na zakończenie oświadczył: „Proszę pani, jak jedna pani się topiła koło Orłowa, wołali rybaka, żeby ją ratował; to on się najspokojniej spytał: kto mu za to zapłaci? Tacy są Kaszubi. To hołota“. Oczywiście, z żadnego źródła, mimo sumiennych dociekań, nie mogłam wydobyc nazwiska ani „pani, co się topiła koło Orłowa“, ani potwora w rybackiej skórze.

Wieczorami pan Dietl „ode Gdańska“ gwarzy przed domem z sąsiedami. Nie mówi po polsku, ale wszyscy wkoło gadają gwara kaszubską, a on wtóruje niemieckim basem. Wszędzie obok, i z prawa, i z lewa, ten sam obrazek. Często widzi się letnika, jak rozprawia z rybakami de publicis. Gada zupełnie, jak u Lursa przy czarnej. A więc: Grabski grabi, zastój w przemyśle, bilon, za mało budują, poco te paszporty, Piasty to Dojlidziarze, Pepeesy zaprzedały się Żydom, endecja żłopie krew ludu, ministrowie do trzech liczą z trudnością, zresztą są zawsze na urlopie i t. d.... bez końca szemrze inteligencki strumyczek. Kaszubi słuchają, pykają fajeczkę, mało rozumieją, dużo puszczają mimo uszu, obliczając w myślach, ile jeszcze brakuje guldenów do kupna motorówki, a sporo karbuja w pamięci i nazajutrz biegną do „Danska“ zmieniać pokątnie oszczędności na marki. „Agapy“ statystów warszawskich z ludem kończą się zwykle na arenie polityki zagranicznej i wtedy rybak dowiaduje się z dobrego źródła, że „Francuzi traktują Polskę, jak Marokko, a Niemcy razem z Sowietami obstawili już nasze granice, więc wojna wisi na włosku“. „Débrouilles — toi, Georges Dandin!“ (W Moljerze tego niema).

Aż raz byłam świadkiem, że się jednak taki z Kongresowy dogadał do sedna. Przedewszystkiem dopuścił „lud“ do głosu. Bardzo to było ciekawe. „Jakże się wam Polska podoba?“ „Jo, nie jest tak źle. Zimą można kutry⁷⁾ zagnać do portu, jak jest burza, a dawniej trzeba było gnać aż do Gdańska“. Kropka. Po dłuższych aluzjach ze strony inteligenta okazało się narreszcie, że łaskawie uznają wzmożenie ruchu budowlanego (Kamien na Góra); w szkołach mniej im teraz dzieci tłuką (akurat w samą

²⁾ chodził

³⁾ O co jej chodzi?

⁴⁾ nie wpuszcza.

⁵⁾ ciągle

⁶⁾ nieporządek, zamęt.

⁷⁾ łodzie żaglowe.

miarę), bo Kreisschulinspektor nie pozwala; i dawniej na „fischmarku” w Gdańsku mówiono: „Ihr, dumme Kaschuben”, a teraz mówią: „Ihr, verfluchte Pollocken”. Awansowali. Wtrącałam, że możnaby się obyć przecie i bez tego „verfluchte”, bo zamiast jeździć na fiszmark, należy ryby posyłać do Warszawy. (Oczywiście, ryby wędzone). Popatrzyli na siebie boczkami, chrząknął jeden, drugi. Fajeczki błyskały w ciemności. Wreszcie pan Kąkol zagadał. I okazało się, że nie ja pierwsza tworzyłam tę ideję. Chwycił się jej rok temu jakiś kupiec i zaczął od szprotów. Wszedł w umowę z rybakami: obiecali mu dostarczyć tyle a tyle szprotów, przeznaczonych na rynek polski, a wynagrodzenie za to mieli otrzymywać w naturze. Póki rybacy „mieli szproty halone⁸⁾, niebo było bez chmur. Dopiero, kiedy ten i ów upominał się o zapłatę, sposepniał horyzont. Drewniane saboty zostały ofiarowane dostawcom w cenie 30 zł. para, mała blaszanka kawy mieszanej w cenie 10 zł., reszta w tym samym stylu; najpospolitszą zaś monetą przy wypłacie była obietnica. Oczywiście, impreza nie trwała długo, a zacny kupiec z pewnością nie zrezygnował z „Polonii restituty”. Tak; fiszmark jednak górą. Po chwili milczenia — dość kwaśnego — zaryzykowałam przechwałkę: „No, a sieci? przecież Warszawa się tym zajęła. Sieci wam tu przysyłają”. Nikt nie podjął zaczepki. Fizjonomje zostały twarde, niby krzemień. Widać znowu palnęłam baka; więc wsiąklam czempredziej w ogólne milczenie i wkrótce razem z inteligentem, co się dogadał, wycofaliśmy się w porządku. Nazajutrz zagadnęłam o sieci Hedwig, rybacką służącą, urodzoną w Kalifornji, sprytną i zaciętą, jak mewa. „lii, pani... Te sece byli nam tu halone z Warszawy; doch to ne byli sece do morza, to nie do morski interes. Takie sece dobre som jest do łowienia froszow⁹⁾, nie dorszow, no ch flundrow; i takie drogie... W Dansku każdy jeden dostanie recht ładnych secow za polowa tej cene”.

.....

Nie bardzo mnie zmartwiła „wsypa” z sieciami. Tak być musi. W domu, mokrym jeszcze od wapna, nie odrazu ma się komfort. A sześćdziesięcioletni papa, który piastuje pierwszego syneczka, często z nadmiaru tkliwości uszczęśliwia go prezentem zgoła niestosownym. Pomorze jest właśnie dla Polski takim ukochanem niemo-

włębem, z którym nikt się nie umie obchodzić. Mniejsza z tem. Zagospodaruje się dom, synek podrośnie, a papa nabierze wprawy w wychowaniu.

Pogoda jest tego lata jak gorące od słońca wnętrze melonu: zło to - szafranowa i wonna. Precz, wszelkie zmyry! „Niech żywi”... i t. d. Kiedy pełna „niestraconej nadziei”, bieliłam sobie pantofel, sfatygowany stąpieniem po „bursztynowym brzegu”, za oknem dźwięknęło kilka naraz kobiecych głosów akcentem ausgerechnet warszawskim. Wywiesiłam ucho. „Psze pani, jesteśmy z Warszawy, asystentki pana prof. X-a, pomagamy mu pisać książkę o Kaszubach. Zimą państwo dostaną tę książkę; przysłemy (moment demagogiczny). A teraz proszę, jeśli łaska, pozwolić się zmierzyć. Musimy wiedzieć, jaki wzrost i jakie nosy mają Kaszubi”. Wyjrzałam przez okno. Dama Rozalja stała z okiem zbielałym; dolny otwór twarzy doskonale zasługiwał w tej chwili na swoją naukową nazwę: jama ustna. Za częły się namowy i wyjaśnienia w stylu wysoce akademickim. Z pobliskich domków wyległy inne Rozalje i stanęły kręgiem. W środku zgromadzenia cztery — bardzo zresztą miłe — panny głosiły chwałę antropologii. Osłupienie publiki rosło aż do momentu, kiedy do głosu doszła zgroza. Okrzyki, pełne zgorzenia, nierzadkie splunięcia i piski, „Jessus, Marija” objęły wieńcem apostołującą gromadkę. Dziewczyny zakreśliły się niebawem na pięcie i znikły w czeluściach sieni; grube, białowłose matrony ponuro kiwały głowami, jedna moja Rozalja — pozbawione żółci stworzenie — usiłowała zrozumieć. „No, jo; oni nas chcom namalować, jako jezdeśme Kaszube, doch inne ludzie, nie polskie”... Najobrotniejsza z asystentek w lot pochwycała moment słabości u mojej patronki. Zanim zdołała mrugnąć Rozalja, do pleców jej został przystawiony nikłowy drąg, kleszcze pochwyliły klatkę piersiową, a sekretarka ekspedycji zaczęła wywoływać tonem urzędowym: „Wyokość kręgosłupa; kość goleniowa, długość przedramienia; uszy, kość łonowa”... Och, kość łonowa... Na twarz miedzianą starej rybaczki wystąpił pomidorowy rumieniec. Panienska macała gorliwie; wśród chóru statystów rozległy się jęki. Pod upalnym słońcem Rozalja stała z włosiem rozwianym i z miną ofiary. Wreszcie operacja dobiegła końca. I znowu odczycik o wznio-

łych celach antropologii, i znowu łowy na osobliwą zwierzyne.

Etakt doprawdy w najwyższym stopniu był groteskowy. Mając w pamięci tak żywo wczorajszą gawędę o fiszmarku i dzisiejszy pasaż z sieciami, napełniona poczubek głowy dydaktyką, nie umiałam wprost dać sobie rady z tą antropologją. Czyż doprawdy umieszczenie kaszubskich nosów w takiej a nie innej kratce nauki o człowieku jest tą sprawą palącą, która nie może poczekać aż z Polski razem z drągiem do mierzenia kręgosłupów przyjadą prawdziwie dobre i tanie sieci, a chociażby jeden sumienny grosista od flonder? Zresztą na wszystko są sposoby: skuteczne i niedołączne. Eksperymentacja na ludzkich okazach, nawet niewinne studja opisowe, nigdzie nie są dobrze widziane przez ofiary owych studjów. W żadnym, najbardziej kulturalnym, kraju i w żadnym środowisku. Nawet koń, i to nietylko darowany, nie lubi, żeby mu zaglądano w zęby. Tymbardziej nie lubi tego człowiek, zaledwie oprawiony w nową skórę, niezadowolony z funkcjonowania swego warsztatu i niepewny własnych losów. A już zwłaszcza, jeżeli naukowiec, któremu przyszyła idea zdefiniowania jego fizycznego typu, zdaleka krzyczy: „Jestem z Warszawy”... Bo przecież z Warszawy, czekany z irytacją, często z niechęcią, zawsze z upragnieniem, ma przyjść „sędzia sprawiedliwy”, arbiter w sporach o to, czy synowie kaszubscy „majom bydź przisadzone do infanterie”, czy też, pełniąc służbę w państwie, pozostać będą mogli na bałtyckiej fali. Nie trzeba być członkiem stronnictwa ludowego ani naukofohem, żeby to zrozumieć. Gdyby natomiast pomiary, według ścisłej recepty pana profesora, odbyły się przy okazji jakiejś rejestracji, poboru czy poprostu na skutek zarządzenia wójta, po uprzedniej pogadance miejscowego nauczyciela z gminiakami, rzecz dałaby się załatwić ku niemniejszej chwale wiedzy przyrodniczej, a w sposób prawie bezbolesny dla operowanych.

Reasumuję: miodowy miesiąc Rzeczypospolitej z Bałtykiem jest pełen dysonansów. Kaszubi — to ludek twarde, bezwzględny i docna wyzuty z sentymentów. Jeżeli się w czem lubuje, to w „secach”, jeżeli co poważa, to „ordnung”, jeżeli się czego boi, to chyba wojny na piechotę. Akurat taki ludek, jaki Polsce potrzebny do opancerzenia swojskiej riviery w łuskę ze stali. Sprawa da się przeprowadzić. Ale trzeba, żeby każdy Polak świadomy czuł swoją „od-

⁸⁾ przynosili szproty.

⁹⁾ żab.

powiedzialność za Polskę". Nauczmy tego uczucia nasze dzieci. Niech one nie noszą polskości, jak munduru galowego od święta—niech to będzie ich skóra (Nie chodzi mi tu o polskość rasową—o taki a nie inny zespół gestów fizycznych i uczuciowych). Chciałabym, żeby młodzi Polacy umieli podporządkować odruch indywidualny polskiej racji stanu. Brzmi taki dezyderat dość uroczyście, a w zastosowaniu wygląda bardzo prosto: wymaga jedynie treningu ze strony młodych i odrobiny dalekowidztwa ze strony starszych. Wątpię, czy obecne pokolenie „dorosłych” zdobędzie się już na to, by np zważyć wrodzone niechlujstwo, chociażby na kilka miesięcy, dlatego, że przeko-

nanie o brudzie wśród Polaków zniszkodzi interesowi Państwa w oczach — powiedzmy — Kaszubów. Gdyby istniała taka predyspozycja w społeczeństwie, piękne panie, mieszkające w obecnej dobie u rybaków pomorskich, „nie lasowałyby chłopow herein” przez okna, mamy eleganckich sztubaków nie pouczałyby synów, że „Kaszubi to hołota” (skąd żalodne epizody à la Teodor), stołeczni inteligenci nie rozpoczynaliby może uświadamiania różnych Kąkolów od pogawędki na tematy kawiarniane, pan kupiec od szprotów znalazłby źródło tańszej mieszanki, zaś antropologia polska ustąpiłaby kroku polskiej ekonomice.

Ponieważ zbyt trudno wychowywać dygnitarzy i podżyłe piękność-

ci, zwróćmyż cały rozpęd pedagogiczny w kierunku dzieci, żeby one z czasem miały wrażliwość, wykształconą na nietakty względem Polski. Ten sposób odczuwania nade wszystko pożądany u współczesnych Polaków, którzy stykają się z ludźmi, stanowiącymi dopiero materiał na naszych kompatryjotów, przyda się doskonale w epoce, kiedy ukończony zostanie okres misjonarstwa we własnym kraju, a nastanie doba scalenia duchowego ziem dawnej Polski. Wyrabiwszy w sobie—przez rozumne obcowanie z neofitami polskości—uczucie odpowiedzialności za Polskę, nasi młodzi będą mogli wtedy z radosnym spokojem rzucić swoje czyny na szalę cywilizacji narodów.

M. K.

STYLIZACJA CZY PRAWDA?

(W odpowiedzi na artykuł p. t. „Kształcenie kobiecości.”

P. L. Konopacki tęskni za „stylizacją” kobiety i to stylizacją dawniejszą, bo to, co dziś w kobiecie tak niemile go razi (typ „kobiety równouprawnionej” albo tej drugiej, co ma w sobie „coś ze studentki, łobuza i kokoty”), to przecież także „stylizacja,” tylko stylizacja w stylu epoki. Świat „auto-aero-radjo” nie może przecież mieć w zakresie swych motywów stylizacyjnych „anielicy” romantycznej, tem mniej „szlachetnej damy” trubadurów.

Jakże tu „anielicę” wpakować do tramwaju np., jakże jej kazać łączyć druty telefoniczne albo inną ciężką wykonywać pracę? A musi! Takie czasy!...

Co do „czulej pasterki,” to ona tak łatwo przystosowywała się do wszystkiego, że można wyobrazić ją sobie i w samolocie, usabiającą jakieś bóstwo mitologiczne.

Ale to wszystko są żarty. Serjo mówiąc, moi panowie, naco wam „stylizacja”?

Stylizacja — to grzecznie nazwane kłamstwo, to sztuczność, fałsz!

Tego kłamstwa ofiarą ileż razy padacie sami?

Ktoś myślał, że bierze za żonę „czulą bergërkę,” a wziął ladacznicę albo jurgieltnicznię obcych dworów.

Egzaltowana „Anielica” okazała się po ślubie djabłem wcielonym, a „ta z Boticellego” namiętna poszukiwaczka „nagiej duszy”—pospolitą kucharką o bardzo poziomych nstynktach.

Na „stylizację” weźmiecie się zawsze, bo wasza prostolinijność nie pozwoli wam (oczywiście są wyjątki) poza stylizacją dojrzeć w kobiecie ani „człowieka,” ani „kobiety” takiej, jaką ona jest naprawdę. I ta dzisiejsza „demi-łobuzka,” „demi kokotka” może wam przynieść rozczarowanie. Okaze się np. dobrą matką, serdeczną przyjaciółką, miłą towarzyszką pracy.

Naco wam stylizacja?

Dlaczego nie szukacie w kobiecie prawdy, prostoty, a przede wszystkim dobroci?

Pokazał wam Mickiewicz „stylizowaną” Telimenę i „niestylizowaną” Zosię.

No... co kto woli?...

Macie u Słowackiego „stylizowaną” Idalię i „niestylizowaną” Dianę albo Stelkę...

Szukajcie prawdy. Szukajcie kobiety takiej, jaką ona jest rzeczywiście po odrzuceniu wszelkich stylizacyjnych dodatków.

P. Konopacki jako cechy „kobiecości” wymienia intuicję i wdzięk.

Zapewne, kobieta jest typem intuicyjnym i tę intuicję spotkacie zarówno u uczonej, odkrywającej przed myślą ludzką nowe światy, jak i u tej „z plaży”, która intuicyjnie „wie” wszystkie wasze myśli i wszystkie odruchy waszego instynktu.

Z tem kobieta przychodzi na świat. I tego nie zabija w niej ani praca, ani sport, ani równouprawnienie. I tego nie można kształcić.

A co do wdzięku... o to trudno się spierać, bo to rzecz gustu. Ma

swoisty wdzięk i ta dzisiejsza. Mnie się zdaje, że największym jednak wdziękiem w każdym człowieku jest prostota, prawda i to promieniowanie dobroci, które się widzi w każdym odruchu, w każdym spojrzeniu.

Temu, kto szuka żony, żony-kochanki, żony-matki rodziny, żony-radości swego serca, radziłabym, by zwrócił pytające oczy na stosunek swej wybranej do jej matki, do młodszego rodzeństwa, do świata cierpienia i nędzy.

Niechaj nie bierze suchej egoistki bez względu na to, czy będzie stylizowana à la Boticelli, czy na sportsmenkę, czy na jakiego innego modnego diabła.

Szukajcie gorących serc, prawych charakterów, dumnego poczucia honoru, genjusza intuicji i genjusza dobroci, tej prawdziwie kobiecej dobroci, co intuicyjnie wie, jak kochać, jak współczuć, jak leczyć, jak podnosić z upadku...

A co do kultury i co do Europy...

Z kulturą współczesną jest, jak już zaznaczyłam, kobieta współczesna w stylizacyjnej harmonii i tego zmienić nie można. Trzeba by zmienić całą kulturę.

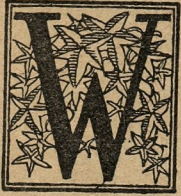
A o Europę nie trzeba się martwić!

Ze wszystkiego w Polsce zawsze najwięcej podobała się i podoba cudzoziemcom — Polka i to nie tylko z urody. Umieili ją cenić wrogowie (Bismarck, Berg), jako tajemniczy czynnik nieśmiertelnego życia Polski i jej fenikswych zdolności do odrodzeń.

Andrea

O NARZECZEŃSTWIE MOSKIEWSKIEM MICKIEWICZA

2



ich gronie „przybylec z zachodu“ nie mógł się czuć obco. Karolina Jaenisch to jedna z kółka rodziny ks. Wołkońskiej. Nie była moskiewką, co także ułatwiało wybór. Była zruszczoną niemką. Ojciec, profesor fizyki w Moskiewskim uniwersytecie, człowiek bardzo oświecony (podobnie, jak otoczenie księżnej, ulegający wpływowi Schellinga) zasymilował się już prawie zupełnie. Być może zrazu zaczęło się od niewinnego flirtu pomiędzy nauczycielem i uczennicą. Jaenischówna zasłynęła później jako nadzwyczajnie obdarzona zdolnościami filologicznymi. Była uczennicą o nieprzeciętnych zdolnościach. Nauczyła się języka polskiego niezmiernie szybko. I tem potrosze podbiła serce poety. Znalazł pośredniczkę między polską i rosyjską literaturą.

Dziewczyna zrazu głębiej nie reagowała. Ale gdy przeszkody natury materialnej (niemożność uzyskania posagu — spadku) na czas pewien utrudniały małżeństwo, co spowodowało, że Mickiewicz, zrezygnowawszy narazie z małżeństwa, wyjechał z Moskwy — panna Karolina nagle zrozumiała, że jest zakochaną w polskim Byronie. Uczucie wybuchło z wielką siłą. Uczucie głębokie, szczere, choć nie pozbawione sentymentalizmu niemieckiego. Z listów Mickiewicza do Daszkiewicza, po raz pierwszy ogłoszonych przez prof. Kallenbacha w 1923 r., możemy poznać bardzo ciekawą ewolucję uczucia zarówno u p. Karoliny, jak i u Mickiewicza.

Jaenischówna — w miarę oddalania się poety — coraz silniej go kocha. Mogła przyczynić się do wzrostu uczucia zazdrość. Salon Wołkońskiej otworzył przed Mickiewiczem petersburskie salony. Sława polskiego Byrona przedostała się do stolicy przed jego przyjazdem. I znowu otoczył polskiego poetę rój kobiet, najwytworniejszych dam dworskich, petersburskich piękności. Mickiewicz stał się bohaterem dnia. Wszyscy wiedzieli o tem, że jest on najserdeczniejszym przyjacielem słynnej eks-damy dworu, ks. Zinajdy, która była przyjaciółką cara Aleksandra.

Petersburskie antagonistki Wołkońskiej za wszelką cenę chciały

zyskać zaufanie polskiego poety. Wiedzano także, że jest on przyjacielem Puszkina, rzekomego „ulubienca cara“.

Nie znaczy to bynajmniej, by uczucie p. Karoliny było tylko wielkoświatową walką o kochanka. I ona była poniekąd „moskiewską filomatką“. Bez względu na takie czy inne okoliczności, miłość jej wzrastała coraz bardziej i stawała głębszą.

Zaczęła chorzeć z tęsknoty.

Mickiewicz nie zdawał sobie sprawy zrazu z głębokości tego uczucia. Traktował ją jako upór kokietki. Ale gdy się o chorobie dowiedział, zmienił zdanie. Nadzwyczaj szlachetnie postępować zaczyna.

Ewolucja uczucia przebiegała w odwrotnym kierunku.

Gdy się do Jaenischówny zbliżał, gdy pierwszy dawał poznać, że nie wyklucza możliwości ożenku, działały względy bardziej natury moralnej, wyrozumowanej — niż uczuciowej. Jaenischówna podobała mu się. Wyczuć też musiał artystyczną intuicją, że ma do czynienia z dość dużym talentem. Była to przedewszystkiem sympatja duchowa.

Ważniejszym czynnikiem psychologicznym było podkreślane przeżemnie postanowienie ożenku. Mickiewicz, chcąc zabezpieczyć się przed powtórzeniem odeskich niebezpieczeństw (porównaj „Denajdy“) — sądzi, że małżeństwo jedynie mogłoby mu dać stały spokój wewnętrzny.

Gdy w 1827 r. pierwszy zaatakował młodą swą uczennicę, przypuszczał, że zmuszony będzie na długo, jeżeli nie na zawsze, pozostawać w Rosji. Pozycja „przybylca z zachodu“, wędrownego pieśniarza, zwłaszcza

po kilkomiesięcznym okropnym pobycie w Moskwie, ciążyła bardzo. Małżeństwo, i to z pokrewną petycką duszą, mogło nietylko dla niego być przystanią, ale i dla tamtych, współtułaczy, stać się ogniskiem rodzinnym. To, że tak szybko p. Karolina nauczyła się języka polskiego, dawało pewne gwarancje, że ją będzie mógł coraz bardziej związać z polską kulturą, że wreszcie da się ją spolszczyć całkowicie.

Petersburg go oddalił i od Jaenischówny, i od trochę sztucznych, zbyt wyrozumowanych planów małżeńskich.

Zaświtała nadzieja wydestania się z Rosji. Nowi protektorzy, nowe stosunki wkrótce marzenie poety zamienić miały na fakt realny — otrzymania paszportu.

Ale nagle zapomniana sprawa powraca na porządek dzienny i to z siłą dotychczas nieznaną.

Jaenischówna, dowiedziawszy się o możliwościach wyjazdu, stawia sprawę na ostrzu noża. Błaga o decyzję. Przed Mickiewiczem stanęło zagadnienie moralne. Nie potrafi skrzywdzić kobiety, choćby nawet nie poczuwał się względem niej do obowiązków wyraźnych. Gdy mu Daszkiewicz donosi o chorobie panny Karoliny, pisze szczerze zrozumiany:

„Zdrowie malarki zatrważa mnie mocno; jeślibym ja był choć w części przyczyną, byłoby to wielkiem dla mnie nieszczęściem. Boże wielki, com ja tu winien? Nigdy jej nie powiedziałem, że ją kocham, ani żartem nigdy nie mówiłem o ożenieniu. Miałem jeszcze obserwować, a tu już wzięto za rzecz skończoną“.

List ten nie jest bezwzględnie szczerym. Znać przecież w nim pewną sprzeczność. Zdanie ostatnie, mówiące o obserwowaniu, wymownie świadczy o tem, że Mickiewicz, choć bardzo dyskretnie, może z pewną bojaźnią przed rekuzą atakował „miasnicką twierdzą“, nie tylko przez parlamentarjusza Daszkiewicza, ale i osobiście.

O tem, że Jaenischówna nie była dlań obojętną, przekonać się możemy z listu poprzedniego, w którym poeta nasz pisze:

„Tesknę trochę za Moskwą i więcej niż potrzeba za moją piękną i dobrą malarką“.

Choć już wtedy nie kocha malarki, „i pożąda nadewszystko wolności“, uciekać nie chce.

(c d. n.)

R. M. Blüth.



FRYDERYK SZYLLER

DON KARLOS

(Poemat dramatyczny)

AKT I.

SCENA PIĄTA

(Fragment)

(Infantowi udało się spotkać z królową, macochą jego, którą kocha).
(przyp. tłum)

KRÓLOWA

Książęca Mość nadto wielką obdarza litością. Ktoś mówił, czy po-
mi litość owa?... Coś mię Wasza
[trzebna

KARLOS

Byłaby podniebna
two droga ze mną. Serce mi to rzekło
raz i odtąd powtarza.

KRÓLOWA

Raczej cię urzekło
zarozumiałstwo młode! A gdyby trafunkiem
mnie serce powiedziało, że czułość króla, podana z szacunkiem,
i jego miłość szczerą, chociaż małomówna,
więcej waży w mych oczach, niżeli gwałtowna
wymowa królewicza młodego, którego pyszałkiem
omalom nie nazwała!

KARLOS

Jeśli tak jest... Ja to całkiem
inaczej rozumiałem... Wybacz, Pani, nigdy w świecie
nie myślał, że ojca mego miłować możecie.
Jeśli istotnie tak jest, przepraszam z wielkiem uniżeniem,
żem się ośmielił...

KRÓLOWA

Przyjemnością moją i życzeniem
mem jest szanować go.

KARLOS

Czyś, matko, nie kochała
nigdy?

KRÓLOWA

Pytanie dziwne.

KARLOS

Liljo biała!
Nie kochałaś-że nigdy?

KRÓLOWA

Już nie kocham!

KARLOS

Wzbraniaż
tobie tego przysięga, czy sercem się skłaniasz
od miłości precz?

KRÓLOWA

Czy taka spowiedź serce twoje syci
radością, książę? Odejdź z Bogiem! Dość tej inkwizycji!

KARLOS

Czy serce broni ci, czy obowiązek?

KRÓLOWA

Mój honor czczę i uświęcony czczę przez Boga związek
i chcę.. Nieszczęsny! Poco ten nóż w ranie
obracasz, poco badasz to, czego nie złamię
twoja ni moja moc? Poco Niebiosów
gniew ściągasz, zamiast ugiąć kark pod jarzmo losów,
narzuconych nam?

KARLOS

A więc jednak narzuconych!?

KRÓLOWA

Jakąż to wagę przywiązujesz do tych moich płonych,
wydartych siłą, słów! Tak być musi. Toć jedynie rzekłam.

KARLOS

Musisz? Przenigdy! To słowo jest piekłem
dla słabych. Ja nie muszę tam, gdzie zechcieć moge!
Mamże być nieszczęśliwym, skoro widzę drogę
do szczęścia? Wszak wystarczy jedno uderzenie
w obecny system praw. W spróchniałych ramach
ledwie kołace się duch. Łada zamach
— runie, i już ślad po tem wszystkim zastygł. Jedno mgnienie
— i jestem najszczęśliwszym... Byleby uderzyć
trafnie!

KRÓLOWA

Czy dobrze cię rozumiem? Sama sobie wierzyć
nie śmiem. Stracone wszystko. Jakoweś widziało
mami cię.

KARLOS

Nie stracone nic i nie przepadło
nic — dla żywych

KRÓLOWA

I w matce swojej pokładasz nadzieję,
książę? *(patrzy nań długo i przenikliwie, poczem mówi dalej*
z powagą i godnością)
Dlaczegożby i nie! Gdy zajaśnieje
młody król, można dawne, prastare ustawy
zdeptać i spalić prawa, a dla większej sławy
posągi umarłego można kazać rzeką
puścić — czy nie popłyną? A mumję wywleka,
mumję nieboszczyka, z grobów Eskurjalu
i na proch ją rozsypią, rozbiją..
I jeszcze można dalej, żeby dobrze skończyć
ten bohaterski czyn...

KARLOS

Jezus, Maryjo!

KRÓLOWA

...ślubem z królową wdową się połączyć!

KARLOS

Przeklęty ojcobójca... *(stoi chwilę zdętwiały i bez słowa)*
Tak, teraz mi własneserce powiada, że wszystko skończone
na wieki.. Dotąd nie było mi jasne..
Ach, pocóżem się dowiedzieć chciał!.. O, płone
nadzieje... O, próchno duszy nieszczęśliwej..
Wiem teraz, żem cię stracił. Już mi żadne leki
nie pomogą.. Na wieki, na wieki, na wieki!
Tego nie można znieść. Lecz jeśli znieść nie można
tego, to tamta myśl stokroć gorsza, bezbożna,
żrąca, jak gad, przytknięty do piersi żywej.
Och, cierpieć tak, rozdarty na dwoje!

KRÓLOWA

Karolu... drogi mój.. nieszczęsne dziecko moje!..
Synu mój słodki!.. Bądź bardziej cierpliwy
na ból! W życiowej musimy szermierce
dotkliwe cięcia znosić. Co twe serce
czuje, wiem nadto dobrze sama. Spróbuj nieco krwawej
z żalu miłości twej hamulec włożyć. Sławy
to droga jest najprostsza i zdobędzie laury,

kto ją przebył. A ciebie wołają litaury
chwały dawno już, i wspomnienie bohaterskich przodków
obowiązuje ciebie. Gdybyś dobył środków,
które w tobie są, starych zasobów dziedzicznych,
żadnej nie znalazłbyś tamy ni słupów granicznych
mocy twej. Wnuk Karola Wielkiego zaczyna
dopiero rosnąć w siłę tam, gdzieby drużyna
zwykłych ludzi osłabła pod męką przemożną

KARLOS

Nie ja tego nie zdołam. Zapóźno, zapóźno!

KRÓLOWA

Zapóźno być mężczyzną wreszcie! O, Karolu,
cnota, jak kwiat na słońcu, rośnie w bólu
złamanych serc. Opatrzność Was wyniosła,
Mości Książę, na wielką wysokość. Miljony
ludzi pytają się: „Skąd ten jeden taki wywyższony
ponad nas? Czem zasłużył na to w matki łonie
jeszcze?” Fortuny będąc jawnym faworytem,
zapłać za ten zadatek znakomitem
życiem, przodując innym! Za tę starą
odziedziczoną jasność imienia zapłać, gdy czem innym nie mo-
[zesz — ofiarą.

KARLOS

Mogę to wszystko — dla ciebie, aby ciebie zdobyć, miła
Gdy ciebie tracę — cała moja dzielność się skończyła.

KRÓLOWA

Książę najmiłszy, przyznań, że duch przeciwności
zamieszkał w tobie, i gorycz dzieciństwa
kieruje wyobraźnią twą, spychając cię na tory,
przeciwnie Niebu... Od samotności i snów tyś jest chory,

królewiczu... Ta miłość, dręcząca okrutnie,
którą mię tak wspaniałomyślnie darzysz, tak rozrzućnie,
miły mój! miłość taka należy się twemu
imperjum, lądom i morzom, całemu
ludowi twoich przyszłych państw. Gdy się nie bronisz
miłości do mnie, skarb swojego ludu trwonisz.
Miłość — to urząd twój, to twoje stanowisko!
Sprawuj ją kiedyś po królewsku! wciągaj w jej wielkie kolisko
świat! Zamiast krwawych wyrzutów sumienia
pożądać — chciej być ziemskim Bogiem.
Serce twoje zbłąkało się i przed żony ojca stanęło progiem.
Niech będzie to twa pierwsza miłość. Ach, nie wątpię,
że drugą będzie Hiszpanja, i tej najchętniej ustąpię.

KARLOS

(pada jej do nóg obezwładniony wzruszeniem)

Jakaś ty olbrzymia, jak cudowna!... Każde słowo
twoje wypełnię, jak rozkaz, królowo!
Niech się więc stanie. Niech się spełni. Na te czyste
twe oczy, na zbawienie nasze wiekuiste,
na moje noce bezsenne i dnie od nich stokroć krwawsze,
ja, infant Karlos, przysięgam na zawsze, na zawsze...
...ach nie! nie zapomnieć, lecz — milczeć... Nie mogłem inaczej
przysiąc...

KRÓLOWA

Śluchał cię Bóg i wybaczy.
Ach, jakżeby mogła, grzeszna, żądać od Ciebie — o, wstydział
przysięgi, którejbyś też nie wyrzekła za nic na świecie!..

MARGRABIA PERA (wpada aleją)

Król idzie!..

Przekład dla Teatru Narodowego
wyk. K. Illakowicz.



GRAZIA DELEDDA

SARENKA



— Niegdyś, przedlaty — opowiadał
Malefazza, służący Baltazara Mu-
las, pewnemu handlarzowi, który
zgłosił się do hali Mulasa dla na-
bycia kilka sztuk bydła — pan mój
był, można powiedzieć, panem.
Mieszkał w tym wysokim domu
z balkonem obok kościoła św. Bal-
tazara, a żona jego i córka nosiły
sukienne spódnice i haftowane sza-
le, jak prawdziwe panie. Dziew-
czyna miała poślubić bogacza z do-
brej rodziny, ale w przeddzień ślu-
bu widziano żonę gospodarza, mło-
dą jeszcze i ładną kobietę, całują-
cą za kościołem dwudziestoletnie-
go wojskowego. Boże! co za skan-
dal! Nie widziano nigdy nic podob-
nego. Córkę porzucił narzeczony
i umarła wkrótce ze zmartwienia.
Od tego czasu mój pan spędzał
całe tygodnie, miesiące i pory ro-
ku na hali, nie wracając nigdy do
domu. Nie mówi prawie nic, ale
jest dobry, może nawet głupi, praw-
dę powiedziałem. Psy, kot, zwie-

rzęta — to jego jedyni przyjaciele.
Nawet z jeleniami się porozumie-
wa. Obecnie zaprzyjaźnił się z sa-
renką, której może porwano świe-
żo narodzone małe i która, szuka-
jąc ich, zrozpaczona, przybyła aż
tutaj. Pan mój jest tak cichy, że
zwierzę zbliżyło się do niego; przede-
mną zaś ucieka jak wiatr; ma
słuszną zresztą, bo jeżeli mi się
uda schwycić ją, sprzedam jakie-
muś myśliwemu. Oto i mój pan...

Baltazar Mulas zbliżał się poprzez
ścieżkę leśną, maleńki, jak karzeł
z dużą białą brodą, w kapturze na
głowie. Na jego wezwanie zbliżyły
się piękne, tłuste krowy i czerwone
jałowki, dzikie jeszcze, ale ła-
godne, i dały sobie dotykać boki
i otwierać pyski, a groźny pies
kręcił ogonem, jak gdyby wyczu-
wał w handlarzu przyjaciela.

Do porozumienia jednak nie do-
szło. Jakkolwiek Malefazzo, chłop-
pak czarny jak beduin i brudny,
przedstawił swego pana jako głu-

piego, ten pokazał, że umie pro-
wadzić sprawy, nie opuszczając
nic z wysokich cen, postawio-
nych odrazu. Kupiec musiał odejść
nie uzyskawszy nic.

Sługa, który wracał codziennie
na wieś, towarzyszył mu kawał
drogi i gospodarz widział, że roz-
mawiają z życiem, śmieją się
i gestykulują. Może żartują sobie
z niego? Ale nie dbał już
obecnie o sądy ludzkie. Pozostaw-
szy sam, wrócił do chałupy, po-
stawił miskę z mlekiem wśród po-
lanki w lesie i, usiadłszy na kamie-
niu, zaczął przykrawać skórę kuny.

Okolo wielkiej leśnej polanki,
wśród bujnej jesiennej trawy, była
uroczysta cisza; słońce świeciło
różowo na płaskowzgórzu, księżyc
wschodził z za fioletoch zarośli
okolic Nuoro. Bydło pasło się
spokojnie, a skóra jałówek pol-
skiwała czerwono od światła zacho-
du. Cisza była taka wielka, że gdy
dolatywał jakiś głos, zdawało się,

że pochodzi z pod ziemi. Jakiś człowiek o szlachetnym wyglądzie, w barchanowym ubraniu, z czapką sardyńską na głowie, przeszedł przed chałupą, prowadząc dwa woły, które ciągnęły staroświecki pług ze srebrzystym lemieszem, wyróconym do góry. Był to zubożały szlachcic, który nie wstydził się siał i orać ziemi. Nie zatrzymując się pozdrowił starego Baltazara.

— No cóż, widziałeś dziś swoją kochankę?

— Jeszcze wcześniej; jeżeli nie głodna, to nie przychodzi, mała djablica.

— Co robisz z tej skóry?

— Sznurowadła do butów. Przekonałem się, że skóra kuny mocniejsza jest od psiej.

— Nabiera więcej deszczu, patrz. No, zostań z Bogiem.

— A ty, idź z Marysią.

Po odejściu człowieka z błyszczącym pługiem, jakby srebrnym krzyżem, nastąpiła znowu cisza — ale w miarę, jak słońce zachodziło, stary spoglądał z niepokojem na kępki zarośli w głębi polany, wreszcie odłożył robotę i siedział nieruchomo. Krowy udały się do obory, odwracając głowy przedtem, by przyjrzeć się słońcu, zawieszonemu nisko na widnokręgu; czerwone i błękitne opary wznosiły się, i wszystko, pokryte lekką mgłą, jakby drżało od smutku; trawki, poruszane bez wiatru, robiły wrażenie powiek, spadających na oczy, gotowe do płaczu.

Stary spoglądał wciąż na krzaki w głębi polany. O tej porze zwykle zbliżała się do chałupy sarenka. Pierwszego dnia spostrzegł ją wyskakującą z poza krzaków jakby wystraszoną, jakby ściganą przez myśliwca. Zatrzymała się chwileczkę, rozejrzała dokoła słodkimi czarnymi oczami, jak dziecko, potem znikła znowu, szybka i milcząca, przebiegając jednym susem polankę. Była jasna, z nóżkami jakby z gładkiego drzewa, szaremi rogami, delikatnymi jak gałązki suchego asfodelu.

Nazajutrz zatrzymała się również krótko. Spostrzegła starego, spojrziała i uciekła. Nie zapomniał nigdy tego spojrzenia, prawie ludzkiego, błagalnego, czulego i niedowierzającego zarazem. W nocy śniła mu się sarenka, uciekająca przez polankę, gonił ją, pochwylił za tylne nogi i trzymał drżącą i lekliwą w ramionach. Ani chora owieczka, ani cielątko, skazane na rzeź, ani zraniona kuna, albo zając nie wywołały tak silnej czułości. Drżenie zwierzątka udzieliło się jego sercu; powrócił z niem do samotnej chałupy i zdawało mu się, że już nie jest sam na świecie,

wyśmiany i wyszydzany nawet przez swego sługę.

Na jawie jednakże tak nie było. Sarenka zbliżała się codziennie więcej, ale jak tylko spostrzegła sługę lub kogoś obcego, albo o ile stary zrobił ruch jakiś, uciekała szybko, jak ptak o niskim locie zostawiając zaledwie srebrzystą bruzdę poza sitowiem polany. Natomiast, kiedy stary był sam, nieruchomy na swym kamieniu, zatrzymywała się trochę, zawsze nieufnie, szczypiąc trawę i podnosząc co chwila piękną, delikatną główkę. Przy najmniejszym szmerze drżała, oglądała się dokoła, skakała w zarośla, potem wracała, przysuwała się i przyglądała staremu.

Oczy te napępniały go czułością. Uśmiechał się do niej łagodnie, jak bóg Pan musiał się uśmiechać do saren przed wiekami. Jakby oczarowana tym uśmiechem, sarenka przybliżyła się, lekka i zgrabna, na cienkich nóżkach, pochylając raz po raz pyszczyk, by wachać niewierną ziemię. Mleko i kawałki chleba, które stary umieszczał w pewnej odległości, przyciągały ją.

Któregoś dnia pochwyliła trochę maślanek i uciekła; innego dnia znowu zbliżyła się aż do miski, ale zaledwie dotknęła mleka językiem, zatrzęsła się, skoczyła na cztery nogi, jakby ziemia ją sparzyła, i uciekła. Wkrótce potem wróciła. Odtąd uciekała i wracała częściej, mniej nieśmiała, prawie zalotna. Skakała do góry, kręciła się wokół siebie tak, jakgdyby chciała pochwylić swój ogon zębami, drapała nóżką ucho, przyglądała się staremu i, zdawało mu się, że mniej jest smutna i wystraszona i że się do niego uśmiecha.

Pewnego dnia postawił miskę o parę kroków od swego kamienia, prawie przy drzwiach chałupy, odganiając daleko kota, który się dobierał do mleka. Po chwili sarenka zbliżyła się spokojnie, wypila mleko i zajrzała ciekawie do środka. Patrzył nieruchomo, ale, będąc tak blisko, nie mógł się oprzeć pokusie dotknięcia jej i wyciągnął rękę. Skoczyła na cztery nóżki i uciekła z pyszczkiem, ociekającym mlekiem; ale po chwili wróciła, a on nie starał się jej dotykać.

Odtąd znał ją już i był pewny, że kiedyś zostanie u niego z własnej woli; żadne zwierzę nie jest tak łagodne i towarzyskie, jak sarna. Od dziecka miał sarenkę, która chodziła za nim wszędzie i spała tuż przy nim w nocy.

By przynęcić swoją nową przyjaciółkę i mieć cały dzień przy sobie, nie używając siły, miał zamiar pójść na poszukiwanie rodziny jeleniej, porwać małą sarenkę i za-

brać ze sobą do chaty; w ten sposób, widząc towarzyszkę, przywiązałyby się lepiej. Ale, mimo starań, plan nie udał się. Trzeba było pójść na górę, w zagłębienie Gonara, aby znaleźć sarny, a on nie był ułożony do polowania. Znalazł tylko zranioną w skrzydło wronę, która z trudem poruszała drugim i nie mogła fruwać. Wziął ją, by ją wyleczyć, i niósł ostrożnie w rękę. Gdy sarenka zobaczyła go z ptakiem, uciekła, nie zbliżywszy się. Była zazdrosna. Starzec uleczył wronę, ale znalazł ją sługą i zaniósł na wieś do przyjaciół, a gdy gospodarz się żalił, powiedział mu szorstko:

— Jak nie przestaniecie się skarżyć, zarzucę pętlę na szyję sarny i sprzedam ją myśliwemu.

— Jeżeli jej dotkniesz, połamię ci wszystkie kości, jak Bóg na niebie.

— Wy? A do czego wy jesteście zdolni? rzekł — śmiejąc się łobuz. — Umiecie tylko jeść chleb z miodem!

Ale tego dnia, po odejściu sługi i handlarza, stary czekał nadaremnie na sarenkę. Zmrok zapadł i nawet szum wiatru nie przerywał ciszy mglistego wieczora. Zasmucił się. Nie wątpił ani przez chwilę, że chłopak złapał sarnę na pętlę i zabrał na wieś.

— Widzisz, gdybyś się była dała wziąć. Gdybyś była została u mnie — mruzczał, siedząc przed kominem swojej chałupy, podczas kiedy kot, nieczuły na boleść swojego pana, wylizywał mleko z miski. Teraz cię związano, poćwiartowano. Oto twoje przeznaczenie...

Wracały wszystkie wspomnienia, pełne gorczy, wracały straszne i okaleczone, jak trupy wyrzucone z morza.

Nazajutrz i dni następnych kłócił się ze sługą, chcąc go zmusić do wyznania prawdy. „Idź, obyś połamał kości tak jak je połamałeś biednej sarence.

Malefazzo śmiał się szyderczo.

— Tak, połamałem je. Wziąłem ją na pętlę, połamałem stawy i zaniósłem do myśliwego. Dostałem za nią trzy franki i dziewięć soldów. Oto są.

— Jeżeli się nie wyniesiesz, strzelę do ciebie.

— Wy? Tak jakście strzelili do przyjaciela żony. Tak, jak do narzeczonego córki, który ją zdradził.

Stary, doprowadzony do pasji, z oczyma nabiegłymi krwią porwał ze ściany broń i wypalił. Poprzez fioletowy dym widział jak chłopak uciekał, jak sarna, wjąc.

Wtedy usiadł przed chałupą z bronią na kolanach, gotów się bronić, gdyby tamten powrócił, nie żałując bynajmniej swego czynu. Ale godziny mijały i nikt się nie zja-

wiał; zapowiadał się wieczór ponury i spokojny, mgła otaczała szarą wstęgą cały widnokrąg, a krowy i jałówki ociągały się z powrotem do obory i stały nieruchome, jakby śpiące, z pyskiem w trawie.

Szelest wśród krzaków przeraził starego, ale, zamiast swego wroga, ujrzał wyskakującą sarenkę, która podeszła do niego tak blisko, że aż dotknęła pyszczkiem rusznicy. Zdało mu się, że śni. Nie poruszył się, a zwierzątko, nie widząc mleka, wsunęło głowę do chałupy. Niezadowolona, wykręciła się i skoczyła w dal. Po chwili zapanowała znów cisza.

Kot, który spał przy kominie, obudził się, wstał, okręcił około siebie i ułożył się znowu jak poduszka z czarnego aksamitu.

Po chwili nowy szmer poruszył rząd krzaków. Ukazała się znowu sa-

renka i skoczyła na polanę; tuż za nią wyskoczył jeleni (stary poznał samca po ciemniejszej sierści i rozgałęzionych rogach) i gonił ją aż dopędził. Wskoczyli wesoło jedno



na drugie, upadli razem, podnieśli się, pobiegli i prowadzili dalej gonitwę i walkę. Cały las, błądy w jesiennym wieczorze, zdawał się cieszyć ich zabawą.

Wkrótce potem przeszedł ów chłop z pługiem, pokrytym czarną ziemią. Tym razem zatrzymał się.

— Baltazarze, cóżes uczynił? — rzekł poważnym głosem — władze cię szukają, by zaaresztować.

— Jestem na miejscu — odrzekł stary pogodnie.

— Ale czemuż zraniłeś swego sługę? badał tamten, chcąc koniecznie dowiedzieć się powodu sprzeczki.

— Daj mi pokój — powiedział wreszcie. Po chwili milczenie zaś dodał: — a więc, chcesz wiedzieć? To przez to zwierzątko, które ma oczy, mojej biednej córki Sarry...

W A N D A M I Ł A S Z E W S K A

19

ZATRZYMANY ZEGAR

(powieść)



Kiedyś poszli na Nosal. Maleńka górka, ale jednak niebezpieczna, proszę pani, bo tam pełno zwietrzałych skał. Właśnie na takie skały zapędziła się za szarotką. Poskoczył ku niej, odciągnął od niebezpiecznej krawędzi... Trzymał ją przez dobrą chwilę w objęciach, nie mogąc wymówić słowa ze wzruszenia. Wreszcie zaczął powtarzać:

— Co pani robi! Co pani robi!

Najmniej z dziesięć osób widziało tę scenę. Widzieli, jak ją trzymał w ramionach i niepotrzebnie przycisnął do siebie. A potem pomógł jej zejść i nie puścił jej ręki, dopóki nie zeszli ze skał i znaleźli się na gładkiej jak stół drodze. Od czasu do czasu mówił z wyrzutem:

— Jak można być tak nieostrożną! Ta skała mogła się oberwać! Czy pani zdaje sobie sprawę? Ta skała mogła się oberwać razem z paną!

Doszli do jakiejś cukierni... Do Karpowicza, zdaje się. Ach, tak, naturalnie, do Karpowicza. Stasiuńcio (wówczas jeszcze „pan Bujakowski“) zaproponował, aby po tych emocjach napić się cze-

gość chłodnego. Pili mazagran przez słomkę. Wówczas to właśnie dostrzegła nad bufetem z ciastkami ów napis: „Ciastko dotknięte uważa się za nabyte“.

— Pokazałam mu w milczeniu ten napis, ciągnęła aptekarzowa z przejęciem — i on zrozumiał, co to znaczy. Zrozumiał i natychmiast oświadczył się o moją rękę. Nie czekał nawet, aż skończę mazagran.

Tak się zaczęło. Potem — miała dużo przykrości, przedewszystkiem z własną rodziną. Chórem zakrzyczeli ją wszyscy, że zwarjowała, nie mówiąc już o różnicy lat, takie małżeństwo! On goły, niedouczonek, niewiedomo, kiedy skończy tę swoją medycynę i czy ją wogóle skończy. Żeni się napewno dla pieniędzy. Wymawiali jej obie wille: w Zakopanem i w Nowym Targu. Przekładali, że ten gagatek tylko na jej majątek dybie, aby sobie móc żyć wygodnie; że to skończony dureń, ale i spryciarz, oho ho!.. Gagali Bóg wie co. Zatknęła na to uszy. Uwielbiała bez miary swego Stasiuńcia, na złość rodzinie oświadczyła, że mu obie wille w intercyzie przed ślubem zapisze. Ledwie jej wyperswadowali.

Mieli słuszność, zapewne, mieli słuszność we wszystkim. Ona sa-

ma już dziś rozumie, że Stasiuńcio by jej tak bardzo nie kochał, gdyby nie owe dwie wille i „ta trocha gotówki w banku“...

Namawiała go, prosiła, aby zdał egzaminy, aby pokazał wszystkim, że to potrafi. Wykrecał się sianem przez pięć lat. Obiecywała mu prezenty, pieniądze, obiecała mu podróż do Włoch... Przyrzekła, że mu zapisze jedną wille na własność... Na nic. Wolał grać w w bilard i grał po ośm godzin dziennie. Musiała sama chodzić i wyciągać go z knajpy. A potem zaczęło się jeszcze gorzej. Zaczęły się spódniczki. Co miała robić? Dobrocią nie wskórała nic, chwyciła się awantur. Robiła mu piekielne sceny o każde „oko“ na ulicy, o każdy ukłon, złożony kobiecie, której nie znała osobiście.

Milczał. Wszystko to znosił w milczeniu, obojętnie. Tylko czasem, kiedy mu czyniła zbyt gorzkie wymówki, przeklinając dzień ich poznania, zaręczyn i ślubu, odpowiadał z flegmą:

— Samaś sobie winna. Poco było pokazywać ten napis o ciastkach. Nigdybym się nie oświadczył. Do głowyby mi nie przyszło oświadczyć się starej panie.

— Jakto, więc nie kochałeś mnie ani trochę? Nawet wtedy?

— Owszem, kochałem cię... Zapewne, że cię kochałem, ale żeby znowu aż tak...

— Ale mię teraz nie kochasz! Nie kochasz swojej żony, która wstyd znosi przez ciebie, na twoje utrzymanie łoży, jakbyś był niedołągą, kaleką! Było się z tobą cackać, chuchać i dmuchać, wałkoniu!

— Ależ kto ci mówił, kochanie, że cię nie kocham? To chyba złe języki ludzkie? Muszę cię kochać, skoro nie uciekłem od ciebie, gdzie pieprz rośnie! — zapewniał rozbrajający „Stasiuńcio“.

— Siedem lat! Siedem lat, proszę pani! — kończyła aptekarzowa, ocierając w końcu łzy razem z resztkami bielidła. — Kupiłam mu tę aptekę, wywiozłam z miasta... Myślałam — ustątkuje się wreszcie, zrozumie, że przecież trzeba czemś być.. Bo on napewno ma zdolności, choć mu i tego odmawiają... I widzi pani, jak to się ustątkował. Zabrakło aktorek i pensjonarek z Plantów, to sobie i tu nawet marcepany wynalazł! Dziewki od gnoju! Chamskie dziewczuchy! Z nimi baraszkował po kątach, a ja w aptecce godzinami siedziałam jak głupia, boby ludzie wydziwiali, że ciągle zamknięta... Teraz wyjeżdżam. Zabiorę go do Warszawy. Powiedziałam mu: Albo — albo. Albo, Stasiuńciu, zdasz egzamin i zostaniesz porządnym człowiekiem, albo też...

Urwała i machnęła ręką, a w geście tym była cała determinacja nieszczęśliwej kobiety, która kocha, sama nie będąc kochaną, cierpi nad tem i męczy się, a jednak nie ma dość siły, aby sobie raz mocno powiedzieć: albo — albo.

XXIII.

Na uroczystość zamknięcia roku przybył inspektor powiatowy, proboszcz i kilku okolicznych obywateli, którzy należą do dozoru szkolnego. Urządził śmy coś w rodzaju egzaminu, coś w rodzaju popisu. Dzieciarnia, wypucowana i ubrana odświętnie, zachowywała się wzorowo.

Dopiero w tym dniu uwydatniła się wyraźnie zmiana, jaka zaszła w dzieciach, zwłaszcza z pierwszego oddziału. Moje kochane dzieciaki! Miałam ochotę wyściskać je, wycalować, takie były uważne, grzeczne, tak inteligentne i ze skupieniem odpowiadały na zadawane pytania. Nie patrzą już dziś z podębą, nie gapią się na obcych,

nie pociągają tak głośno nosem i mają prawie zawsze dość czyste ręce i uszy, chociaż w ostatnich czasach daleko rzadziej urządzałam przegląd krótko ostrzyżonych głów i szorstkich łapiąt.

Mój Teoś w czystej, nowej kurteczce z domowego płótna wyglądał okazale. Opowiadał bardzo ładną historję o bocianach, które, nie mogąc wynieść swoich małych z palącej się wioski, spłonęły razem z niemi na gnieździe; poczem, zachęcony mojem spojrzeniem, wystąpił śmiało na środek klasy i narysował na tablicy bociana z bardzo, bardzo długim dziobem i bardzo, bardzo wielką żabą w tymże dziobie.

A potem dzieci śpiewały chórem. Śpiewały piosenkę o zimie, co to jest taka zła: „Szczypie w nosy, szczypie w uszy, ostrym śniegiem w oczy prószy“, i piosenkę o chrobąszczu w mocnym pancerzu i wiele, wiele innych. Gdy wreszcie program się skończył, inspektor zaproponował:

— A teraz zaśpiewajcie, co same chcecie!

Naradzały się przez dłuższą chwilę, szeptały, zbite w gromadkę, wreszcie jakiś głosik zaczął nieśmiało, przeciągle, wedle tutejszej mody:

Gdzieś ty bywał,
Czarny baranie?
We młynie, we młynie,
Miłościwy panie..

I naraz wszystko trzydzieścioro podchwyciło melodję. Popłynął zgodny chór:

Cóżeś tam robił,
Czarny baranie?
Meł mączkę na pączki,
Miłościwy panie..

Cóżeś tam jadał,
Czarny baranie?
Kluseczki z miseczki,
Miłościwy panie!

A gdy przyszło do słów: „Kto ciebie bił, czarny baranie, sam młynarz, sam młynarz, mościwy panie“ — dzieciarnia rozswawoliła się na dobre.

Jakeś ty płakał,
Czarny baranie?
Meee... Meee...
Miłościwy panie...

Cały pokój zamienił się w jedną wielką owczarnię. Najgłośniej „me-

czał“ Teoś, uszczęśliwiony, że może jakoś wyładować swą radość.

Poprzedniego dnia oznajmiłam jego babce, że chłopiec przeszedł do drugiego oddziału. Dziękowała mi ze łzami, jakby to moja tylko była zasługa, że wnuczek nie zrobił jej wstydu. Nikt tutaj nie ceni tak szkoły, jak stara Wątkowa. Baby wiejskie naogół posyłają dzieci na naukę, bo taki jest „przykaz“ od rządu i można karę zapłacić. Jeszcze dopóki trwały zimna, dzieciarnia chodziła regularnie, ale z nadejściem cieplejszych dni, a zwłaszcza z chwilą, gdy bydło ruszyło w pole, skończyła się ta pilność. — Kto będzie krowy i świnię pasał? Kto będzie ojcu pomagał? — Tłumaczyły się wszystkie gospodynie.

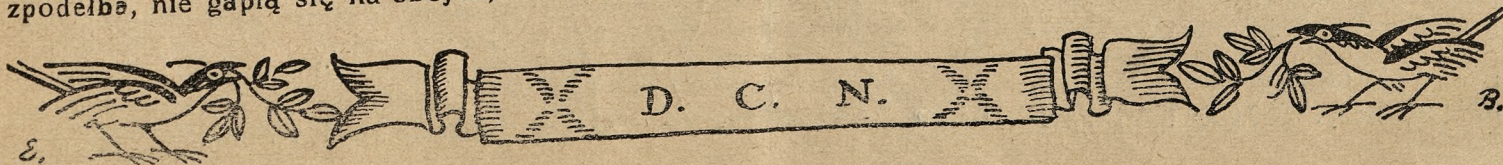
Nie pomogą perswazje, zapisywanie dzieci nieobecnych, nie pomogą nawet kary, wyznaczane przez wójta. Chłopak w domu potrzebny — i tyle. Dziewczyna musi gęsi pilnować — i kwita.

Jedna tylko Wątkowa stale i pilnie baczyła, aby jej Teoś uczył się jaknajwięcej. Kazała mu codziennie w domu czytać z elementarza i słuchała uważnie, z przymkniętymi oczami, dziecinnych powiastek. Ona sama nie umie czytać zupełnie. Ma wprawdzie książkę do nabożeństwa, a w niej kilka obrazkami pozakładanych stronic, gdzie się znajdują modlitwy, które od dzieciństwa umiała na pamięć. A teraz — wnuczek potrafi wyczytać i z tej książki... Trochę mętnie, trochę koślawo, ale przecież przesyłabizował modlitwę św. Bernarda! Na przyszły rok potrafi daleko więcej, a później, po skończeniu szkoły powszechnej, wstąpi do seminarjum.

— Dałby Bóg chociaż tej chwili doczekać, rzekła mi z cichem westchnieniem babina, która ma przeszło sześćdziesiąt lat i nietęgo się czuje. Coś jej tam ciągle w boku dolega, w „dołku“ ją gniecie. Starość.

— Tylko tego Teosia na świecie mamy — powiada nieraz do mnie, niechby Bóg pozwolił doczekać, aż na ludzi wyjdzie...

Była i na popisie stara Wątkowa. Czekwała w sieniach, dopóki nie nadbiegł wnuczek rozpromieniony, z oczyma iskrzącymi, dumny z siebie — i słusznie. Rzucił się babce na szyję i opowiadał bezładnie o bocianie, o swoich rysunkowych popisach i o tem, jak on „meczal“ najgłośniej ze wszystkich.



KAROLINA BIELAŃSKA

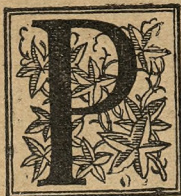
Z CYKLU: PROFILE ROMANTYCZNE

PIĘKNA PAMELA

(LADY FITZGERALD)

1773 — 1831

12



Polityka rozdzieliła rodzinę. Lucy i Zofja, uczuciem wiedzione, trzymają stronę Edwarda i Irlandji, na tę stronę chyli się książe Leinster, choć, zdaniem sióstr, „nie bardzo pewny”. Zato stronnikiem Pitta stał się Karol Fitz Gerald, nagrodzony przez niego tytułem lorda Lecale, i Robert, dyplomata. Henryk, niegdyś serdeczny towarzysz przygód i zamysłów Edwarda, miły, dobry ale słaby i dający się powodować żonie „oranżystce”, trzyma się na uboczu. Bracia księżnej matki—książe Richmond, lord Holland, cioteczny brat Edwarda, Karol James Fox, wielki leader obozu liberalnego, ludzie szlachetni i oświeceni, patrzą z bezsilnym bólem na obrót sprawy irlandzkiej. Ciotki—mądra Sarah i łagodna Luiza, drżą o los „kochanego Edwarda”. Ale biegu wydarzeń żadna już siła ludzka powstrzymać nie zdolna.

Pewnego czerwcowego wieczoru lord Edward wybrał się nagle do Londynu pod pretekstem odprowadzenia siostry, choć Lucy nie miała ochoty opuszczać Dublina i z ciężkim sercem rozstawała się z Pamelą i kółkiem serdecznych przyjaciół, wiedząc, że pozostawia ich na wulkanie: „Smutny był nasz ostatni obiad — pisze — Pam płakała, a nawet nasz przyjaciel dr. Duignan miał łzy w oczach. Uściskaliśmy się na pożegnanie. Biedny chłopiec! Trudno znaleźć lepsze serce i lepszego patriotę. Tegoż samego wieczora zaarrestowano go. Edward i ja spędziliśmy całą noc w zatoce na małej łódce rybackiej, usiłując dogonić statek, płynący do Anglii.”

Przyczynę tego pośpiechu wyjaśnia list Reinharta do ministra Delacroix, wysłany z Hamburga do Paryża, a przychwycony przez szpiegów Pitta. Donosi on, że delegat rządu francuskiego będzie się widział w Londynie z przedstawicielem Zjednoczonych Irlandczyków.

W następnym liście pisze: „Lord Fitz Gerald udzielił naszemu delegatowi ważnych informacji i stwierdził, że nic nie zmieniło się w planach patriotów.” W tym czasie związek liczył 290.000 ludzi zdol-

nych do walki. Byli oni podzieleni na pułki i ćwiczyli podług instrukcyj, wypracowanych po mistrzowsku przez Fitz Geralda. Potrzeba było jeszcze jakich kilka miesięcy czasu i należytego uzbrojenia, aby stworzyć formalną armję.

Francja gotowała się z pomocą, ale ten, który był duszą imprezy, już nie miał zawitać na brzegi Zielonej Wyspy. Hoche leżał śmiertelnie chory w swojej nadreńskiej kwatrze. Tajemnicza choroba powaliła w sile wieku bohaterskiego wodza: wcielenie najczystszej i najcudniejszej ideologii pierwszych czasów Republiki.

Płakała po nim Irlandja. Fama głosiła, że struli go agenci koalicji.

„Eliksir Pitta” był może legendą, ale prawdą było, że wielki polityk, który po mistrzowsku umiał posługiwać się sztuką szpiegostwa, korupcji i prowokacji, zdołał wszczepić zabójczy jad zdrady w silny i zdrowy dotąd organizm Towarzystwa Zjednoczonych Irlandczyków. Patrjoci oddawna już grzeszyli nieprzezornością i zbytnią wiarą w ludzi tak, że rząd z łatwością dowiadywał się o ich zamierzeniach i, gdyby był chciał, mógł oddawna położyć rękę na kierownikach ruchu. Ale to Pittowi nie wystarczyło. W planach jego leżało: dopuścić do wybuchu, aby mieć pretekst do odebrania nieszczęsnemu krajowi tych niewielkich swobód, jakie rząd poprzedni udzielił pod chwilową presją zwycięstw Rewolucji.



Do tego celu nie wystarczali zdrajcy, trzeba było prowokatorów, którzyby weszli do najściślejszego koła patriotów.

W Komitecie Wykonawczym Dublińskim miejsce O'Connora zajął „szanowny” Samuel Turner, adwokat z Ulsteru, znany z kwiecistej wymowy i skrajnych przekonań. Bywał u Fitz Geraldów, gościnnie przyjmowany. Bojąc się rzekomo aresztowania, wyjechał do Hamburga i tam, podając się za wysłańca Komitetu, informował Reinharta o tem, co się dzieje w Irlandji.

„W przeciwieństwie do M-c Newina i Fitz Geralda, którzy są umiarkowani, Turner uniesiony zapalczywością, dąży do natychmiastowego wybuchu insurekcji.

„Jest to człowiek gwałtowny i ambitny i gdyby jego dumę zdrażnięto, byłby w stanie pójść do Pitta, zadenuncjować własnych rodaków.” Tak pisze Reinhart, dobry psycholog. Nie wiedział tylko, że to, czego możliwość przypuszcza, już się dawno stało.

Turner był na żołądź Pitta i za 500 funtów szterlingów sprzedał niedawno ważne papiery, które skradł M-c Newinowi (istotnemu delegatowi Irlandji), podając, że wziął je z pudełka od roboty lady Edwardowej Fitz Gerald, którą zwie stale szyderczo: lady Egalité.

W aktach tajnej policji szpieg ten nosił nazwisko Richardsona: nazwisko autora słynnej Pamelii. Szpieg również opowiadał o Pamelii.

Dlaczego właśnie o niej? Skąd tendencja, aby robić z młodej kobiety główną agentkę „zbrodniczych machinacyj?”

„Wszystkie negocjacje Komitetu Rewolucyjnego w Dublinie z agentami paryskimi przechodzą przez ręce lady Egalité — pisze szpieg do lorda Downshire, sekretarza stanu w Dublinie. Ona to otrzymuje pisma z Hamburga i posyła do lady Lucy, która zajmuje się doręczaniem ich adresatom.

Ponieważ cieszę się zupełnem zaufaniem tych pań, będę mógł rządowi dostarczać wyczerpujących informacji...

Wszelkie listy, pisane do Pamelii lub przez nią, powinny być na pocztę rewidowane...” (c. d. n.)

ZAGADNIENIE PSYCHIKI U ZWIERZĄT

(ciąg dalszy)

Obserwacją tych koni zajęli się zatem uczeni, psychologowie i psychjatrzy, którzy po dłuższych badaniach potwierdzili jednak, że rzeczywiście mają tu do czynienia z przejawami wielkiej wartości na polu dociekań nad psychologią zwierząt, że otwierają się nowe horyzonty dla badań naukowych, i w latach 1912 i 1913 pojawił się szereg artykułów w „Les Archives de Psychologie de la Suisse romande” i we włoskim „Revue Psyché”, niezwykłym zdolnościom tych koni poświęconych.

M. Krall nie był jednak pierwszym, który zaczął pracę nad rozwojem zdolności umysłowych koni. Poprzednikiem jego w tej dziedzinie był niejaki Wilhelm v. Osten, który w 1890 r., zauważwszy u swego konia „Hans’a” przejawy dużej inteligencji, postanowił je rozwijać i kształcić i zaczął, przy pomocy ułożonego przez siebie alfabetu, nad nim pracować.

„Hans” pojmował wszystko w lot i nie tylko nauczył się szybko rachować, wystukując jednostki prawą nogą przednią, a dziesiątki lewą, ale rozwiązywał z łatwością małe zadania, nauczył się czytać i oznaczać dni tygodnia oraz daty miesiąca.

„Hans”, rzecz jasna, stał się głośny, a koło jego postaci zawrzała burza polemik.

Wobec tego w roku 1904 została do badań nad nim wyłoniona komisja, w skład której weszli: profesorowie uniwersytetu w Berlinie, prof. psychologii Stumpf, oraz fizjologii Nagel, dyrektor berlińskiego ogrodu zoologicznego, dyrektor ówczesny cyrku oraz szereg lekarzy weterynarii.

Stwierdzili oni protokularnie, że o żadnym szalbierstwie właściciela mowy być nie może. „Hans” liczył, czytał, dawał odpowiedzi również i pod nieobecność swego pana.

Znalazł się jednak niejaki M. Oskar Pfungst, wychowawiec laboratorium psychologicznego w Berlinie, który sławę Hans’a zaczął zwalczać; posypał się szereg jego artykułów, w których dowodził, że koń odpowiada tylko na szereg wyuczonych znaków, i tak temi artykułami poderwał zaufanie publiczności do „Hans’a” i do orzeczeń całej komisji, że, nie chcąc z nim polemizować, przestano się koniem interesować.

To narazie kwestję inteligencji u zwierząt znów pogrzebało, a w roku 1909 właściciel „Hans’a”—Wil-

helm v. Osten, umarł zniechęcony.

— „Hans” dostał się w spadku po nim przyjacielowi jego, wyżej już wspomnianemu M. Krallowi.

M. Krall, niezadowolony z psychologii zwierzęcej, nie zniechęcony krytyką Pfungsta, wznowił pracę sam nad Hansem, a rezultaty jej zebrał i wydał w grubej tomowej książce, która znów rozbudziła uśpione już ogólne zainteresowanie.

Krall dowiódł, że Hans jest zdolny pracować umysłowo i dawać dobre odpowiedzi nawet pociemku, gdy ściśle zawiązane ma oczy, oraz gdy pytania są mu zadawane z tyłu za nim, w odległości 4½ metra.

Zatem rozwiały się wszelkie wątpliwości. Hans dawał odpowiedzi nie na jakieś wyuczone zgóry znaki, ale na zasadzie własnego procesu myślowego, dowodzącego wysokiego poziomu jego psychiki.

Hans jednak był już stary. Stał się ociężały myślowo, coraz silniej zmęczony, praca z nim szła coraz trudniej. Krall zatem kupił sobie dwa młode araby, Muhameda i Zarifa, i postanowił je kształcić metodą, stosowaną do Hans’a.

Rezultaty były wprost zdumiewające.

Młode, świeże umysły koni przyswajały sobie podsuwane pojęcia ogromnie szybko i po upływie 13 dni od pierwszej lekcji Muhamed operował już małymi cyframi w zakresie dodawania i odejmowania. Godne uwagi jest to, że Krall nie uczył swoich koni, jak się to robi, ale na czym to polega.

Po upływie roku Muhamed rozumiał po francusku i niemiecku, wyciągał pierwiastki drugiego i trzeciego stopnia oraz wykonywał małe rachunki w rodzaju takich:

$$\frac{(3 \times 4) + \sqrt{36}}{3} \quad \frac{\sqrt{36} \times \sqrt{64}}{4}$$

Zariff zaś nauczył się wystukiwać nawet te słowa, które były do niego mówione, a których nie widział napisanymi.

Można sobie wyobrazić podniecenie umysłów w świecie naukowym. Ze wszystkich krajów zaczęli się do Elberfeldu zjeżdżać uczeni, aby osobiście zbadać te niezwykle konie.

Najbardziej nieufne umysły kapitulowały! Na protokołach, stwierdzających wyniki prac Kralla nad jego końmi, spotykamy takie nazwiska jak sławnego Ernesta Hoeckla, który to Hoeckel pisał później do Kralla:

„Pańska cierpliwa praca ustaliła niezbicie istnienie rozumu i duszy u zwierząt, co dla mnie zresztą nie było nigdy wątpliwe”.

Na protokołach tych, poza Hoecklem, spotykamy nazwiska: D-ra

Edingera, neurologa z Frankfurtu, D-ra Kralmera oraz D-ra H. E. Zieglera ze Stuttgartu. Poza tem: D-ra Pawła Sarazin z Bazylei, prof. Oswald z Berlina, Prof. D-ra A. Beredko z Instytutu Pasteur’a w Paryżu i Dr. Claparède z Genewy, D-ra Williama Mackenzie z Genui, którego to Warszawa poznała osobiście na II-im Międzynarodowym Kongresie Badań Psychicznych, który się odbył między 29 sierpnia, a 5 września 1923 r. w głównym gmachu Uniwersytetu. Do Elberfeldu jeździli pozatem: Dr. prof. Assagioli z Florencji, redaktor „Revue Psyché”, D-r Hartkopf z Kolonii oraz D-r Freudenberg z Brukselli.

Wszyscy oni zaznaczali, że jechali do Elberfeldu z wielką nieufnością i nastroszeni nader krytycznie i że to, co tam stwierdzili, wybiega daleko poza granice ich dotychczasowych badań i rezultatów.

D-r M. Claparède z Genewy pisał: „To, co stwierdziłem z końmi z Elberfeldu, jest bezwzględnie najpoważniejszą zdobyczą w psychologii ogólnej. Podejrzenia objawu telepatji u tych koni t. j. że siła myśli ludzkiej narzucała im rozwiązanie zadań — upadły. Co prawda telepatja taka byłaby również niezbitym dowodem procesu myślowego tych zwierząt i nawet silnych łączników z myślą ludzką, tu jednak zachodził fakt własnego myślowego wysiłku i pracy. Dr. Mackenzie bowiem zrobił raz taką próbę. Napisał na tablicy

$$\sqrt[4]{1874161},$$

poczem wszyscy wyszli ze stajni i zaglądali do niej przez małe okienko w drzwiach.

Muhamed dosyć prędko dał właściwą odpowiedź = 37.

Zdolności tych koni rozwinęły się nie tylko w kierunku matematycznym. W miarę upływu lat i życia z człowiekiem, porozumienie stawało się serdeczniejsze i głębsze.

— Pewnego razu, pisze M. Krall, gdy wszedłem do stajni na zwykłą ranną lekcję, Muhamed, wyraźnie zdenerwowany, zaczął sam, bez pytań z mojej strony, szybko wystukiwać nasz alfabet. Zdumiony, nie przerywałem mu i oto usłyszałem zupełnie ludzkie zdanie: „Albert bił Haenschen”. Po kilku dniach znów na mój widok, wystukał niecierpliwie: „Haenschen ugryzł Kame”.

Jak dziecko, które po chwilowej rozłące z rodzicami ma im zawsze coś, co je poruszyło, do opowiedzenia, tak i koń ten, żyty z człowiekiem, odczuwał potrzebę dzielenia się z nim małymi zdarzeniami, zachodzącymi w stajni.

Robił prostą, naiwną kronikę swego spokojnego życia bez wrażeń.

(c. d. n.) Janina Maszewska-Knappe.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU.



CO MÓWI KRÓLOWA RUMUŃSKA O MAŁŻEŃSTWIE.

Królowa rumuńska, Marja, zamieszka w jednym z pism francuskich szereg feljetonów na temat miłości i małżeństwa, z których okazuje się, iż jest ona stanowczą przeciwniczką nowoczesnych poglądów na związek małżeński, uważając go za święty i nierozzerwalny.

„Podziwiam — pisze „najpiękniejsza z pośród europejskich władczyń“ (taki bowiem przydomek nosi królowa rumuńska) — niesłychaną lekkomyślność i łatwość, z jaką kobiety dzisiejsze zawierają i rozrywają związki małżeńskie, opuszczając swoje ogniska rodzinne, męża i dzieci bez najmniejszego żalu, aby pójść za nowym porywem serca — może słuszniej byłoby powiedzieć: zmysłów.

Co do mnie, wyznaję, że, mimo iż żyję w wieku dwudziestym i nie jestem „zacofaną“, na małżeństwo mam poglądy najzupełniej staroświeckie. Nie umiem sobie poprostu wyobrazić, jak mogłabym zmienić rodzinę, opuścić dom, który stworzyłam wspólnie z ukochanym człowiekiem, dzieci, które wychowałam i rozpocząć nowe życie u boku innego człowieka. Trzebaby mi było chyba wyjąć dawne serce z piersi i włożyć na to miejsce inne, nowe, które jeszcze nie zaznało żadnego uczucia. Mojem zdaniem, prawdziwa, normalna kobieta (nie mówię tu o jednostkach chorych i wykolejonych) kocha naprawdę tylko raz w życiu“.

Królowa Marja przypisuje winę dzisiejszego rozluźnienia obyczajów kobiecie. Zdaniem jej, kobiety współczesne nie starają się o to, aby mężczyzna spoglądał na nie z czcią i szacunkiem. Nie szuka on też dziś u ich boku wytchnienia po trudach życia, lecz poprostu — zabawy.

„Młode dziewczęta — pisze królowa — są już dziś zupełnie inne, niż dawniej; swobodne obcowanie z młodymi mężczyznami wyrobiło w nich cechy pewności siebie, posuniętej nieraz aż do nonszalancji; życie nie ma dla nich żadnych tajemnic... przynajmniej w teorii. Nie jestem zwolenniczką wychow-

wania staroświeckiego, które polegało na utrzymaniu młodej dziewczyny w całkowitej nieświadomości jej przyszłej roli małżonki i matki; przyznać jednak trzeba, że współczesne „uświadomienie“, zbyt dokładne czasami, jest objawem również mało pożądanym“.

Potępiając jaknajsurowiej zepsucie, cynizm i rozpustę, występuje królowa Marja z gorącą apologią kobiet, którym nasza faryzeuszowska „podwójna moralność“ nadaje miano upadłych.

„Jeśli prawdą jest — woła — że tak wielkim grzechem dla kobiety jest oddać się ukochanemu mężczyźnie przed ślubem, dlaczegoż ona sama ma ponosić hańbę za czyn ten? Dlaczegoż w równym stopniu nie potępiamy mężczyzny, który swymi pięknymi słówkami, obietnicami, przysięgami wierności i t. d. — namówił ją do tego“?

Królowa kończy te rozważania radą, aby matki współczesne wyrabiały w swych córkach poczucie odpowiedzialności za swe czyny. „Na nic się zdadzą — mówi — wszelkie zakazy i przestrogi: dziewczęta dzisiejsze cenią swą samodzielną i nie zechcą z niej zrezygnować. Jedynym wyjściem jest powiedzieć im: jesteś wolna, możesz czynić, co chcesz, ale pamiętaj, iż od ciebie tylko zależy, w jaki sposób użyjesz tej wolności: czy potrafisz być panią własnych żądź i porywów, czy też pozwolisz im zapanować nad sobą i zaprowadzić się na drogę nieszczęścia i hańby“.

LEGENDA HINDUSKA O KOBIECIE.

W starych księgach hinduskich zapisana jest następująca legenda o stworzeniu kobiety:

Kiedy Wszechmocny, Stworzyciel świata i wszystkiego, co żyje, postanowił zakończyć swe dzieło stworzeniem niewiasty, zauważył, iż nie pozostało mu nic, z czego mógłby ulepić jej postać. Wziął tedy od węża gibkość kształtów, wdzięk powoju, rumieniec świeżo rozkwitłej róży, lekkość piórka,



łagodność gołębic, wesołość promyka słonecznego, słodycz miodu, rosę łez z przelotnej chmurki, niestałość i kapryśność wietrzyka wiosennego, pychę i zarozumiałość pawia, trwożliwość zająca, okrucieństwo tygrysa, gadatliwość papugi i obłudę kota, chłód śniegu i płomień ognia, wszystko to zmieszał razem i uczynił z tego niewiastę, którą dał mężczyźnie jako towarzyszkę życia.

Zaledwie jednak upłynął tydzień, a oto mężczyzna zjawił się przed obliczem Stwórcy i rzekł:

„Panie! istota, którą mi dałeś za małżonkę, zatrula mi życie! Nie mam chwili wytchnienia od jej kaprysów i bezustannej paplaniny. Płacze wciąż bez najmniejszej przyczyny, choruje bez powodu i żąda ode mnie, abym jej był we wszystkim posłusznym. Błagam Cię, zabierz dar Twój z powrotem!“

Stwórca, szczerze zatroskany, spełnił prośbę mężczyzny.

Po kilku dniach jednak ten zjawił się przed Nim znowu.

„Miłosierny Stwórco! — wykrzyknął ze łzami — omyliłem się. Przebac mi! zbyt pochopnie odrzuciłem dar Twój! Odkąd bowiem zabrałeś mi niewiastę, życie moje stało się pustem i smutnym. Tęsknota za nią pożera moje serce. Teraz dopiero zrozumiałem, że byłem względem Ciebie niewdzięcznym. Istota bowiem, którą mi dałeś za towarzyszkę życia, uprzyjemniała mi czas śpiewem swym, słodkim jak głos słowika, i osładzała mi trudy mego żywota swoją miłością! Daruj mi zatem, wszechmocny Panie, i chciej mi ją zwrócić lub też — jeśli [to niemożliwe — pozwól mi umrzeć, życie bez niej bowiem jest mi niewypowiedzianą męką!“

Miłosierny Stwórca przebaczył mężczyźnie i zwrócił mu upragnioną towarzyszkę życia.

Znów jednak po upływie dni kilku przybiegł mężczyzna, płacząc i narzekając.

„O, Panie! — wołał — nie wiem, jak się to stać mogło, lecz od czasu, kiedyś mi zwrócił małżonkę, mam tylko z jej powodu same przykrości, żadnego natomiast zadowolenia. Zabierz ją znowu z powrotem!“

„Niewdzięczniku!“ zawołał rozgniewany Stwórca. „Także to przyjmiesz dary moje i nadużywasz mej wyrozumiałości? Nie chcę już dłużej wtrącać się w wasze sprawy! Wiedz, że odtąd ty i twoja towarzyszka będziecie nierozdzielni. Dawaj sobie z nią radę, jak chcesz; skoro ci ją bowiem dam, narzekasz, a bez niej — jak twierdzisz — żyć nie możesz“.

KURS WAKACYJNY W ZAKOPANEM

Kurs wakacyjny powszechnego uniwersytetu regionalnego im. St. Witkiewicza Z. P. N. S. P. w Zakopanem otwarty został w dniu 6-ym lipca r. b. przez przedstawiciela Zarządu Głównego Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych — p. Aleksandra Patkowskiego wobec licznie zebranych członków organizacji oraz gości: inspektora szkolnego z Nowego Targu, Wiktora Urbańskiego, dyr. gimn państw. w Zakopanem, d-ra Stanisława Turowskiego, przewodniczącego Rady Szkolnej Miejscowej, b. posła Wojciecha Roja, ks. prof. Ludwika Łukasika, pr. Cichockiego, przedstawiciela Koła Miejscowego T. N. S. W.

Powszechne Uniwersytety Regionalne Z. P. N. S. P. są ośrodkami propagandy i przygotowania do pracy nad podniesieniem życia umysłowego, społecznego i gospodarczego prowincji polskiej. Przewodnią ideą tej instytucji jest wszechstronne poznanie różniczkowanych wartości i terytorjalnych i ludzkich w Polsce, należyte ich wyzyskanie przez decentralizację życia publicznego w granicach określonych warunkami gospodarczymi Polski Współczesnej; na ich bowiem podłożu układać się będą zindywidualizowane czynniki kulturalne, tworzące bogactwo współczesnego życia polskiego.

Przy otwarciu nowego skupienia tej pracy na Podhalu oddano hold Stanisławowi Witkiewiczowi, jako twórcy podłoża tej ideologii w Polsce.

Znaczenie propagandy ideologii Stanisława Witkiewicza dla Podhala podkreślił w przemówieniu powitalnym p. Wojciech Roj; inspektor zaś szkolny p. Wiktor Urbański życzył najlepszego rozwoju nowopowstałej placówki Związku P. N. S. P.

Po wstępnym referacie o hasłach i dążeniach regionalizmu polskiego rozpoczęły się wykłady, trwające przez cały lipiec, poświęcone organizacyjno-metodycznym zagadnieniom regionalnych badań Polski.

Kurs podzielony był na 3 wydziały: społeczny, humanistyczny i przyrodniczy.

Członkowie P. U. R. im. St. Witkiewicza słuchacze kursu w liczbie 35 (kobiet 24, mężczyzn 11) podzieleni byli według upodobań na Kółka Naukowe społeczne pod przewodnictwem p. Franciszka Dąbrowskiego z Warszawy, humanistyczne pod przewodnictwem p. Marji Lanżanki ze Skolego, przyrodnicze, pod przewodnictwem p. Janiny Tussowianki z Warszawy. Najbardziej ożywione były zebrania Kółka Społecznego z udziałem profesora d-ra Franciszka Bujaka i d-ra Maurycego Jaroszyńskiego, gdzie omawiane były: „przygotowanie fachowe do pracy społecznej”, udział inteligencji, szczególnie zaś nauczycielstwa w pracy samorządowej”, zagadnienie monografii instytucji społecznej”.

Podczas kursu ukazał się artykuł p. t. „Regionalizm polski” w Nr. 29-ym „Głosu Zakopiańskiego”. Członkowie Powszechn. Uniw. Region. im. St. Witkiewicza, zgromadzeni w Zakopanem wzięli udział w poświęceniu płyty grobowej „Nieznanego Żołnierza”, w dniu 16 lipca składają dają wieniec w imieniu uczestników kursu. Z inicjatywy Zarządu Powsz. Uniw. Region. zawiązano został „Komitet Witkiewiczowski”, składający się z prezydów: Zarządu Gł. Z. P. N. S. P. i Wydziału Oświaty Powsz. Z. P. N. S. P., Józefa Łukasiewicza, dyr. szkoły powsz. w Zakopanem, Tadeusza Malickiego, dyr. Domu Zdrowia Z. P. N. S. P., inż. Karola Stryjeńskiego, dyr. Szkoły Przem. Drzewn. w Zakopanem, Juliusza Zborowskiego, Kustosza Muzeum Tatrzańskiego, prezydium Tow. „Sztuka Podhalańska”, b. posła Wojciecha Roja, Władysława Orkana, prof. Jana Gwalberta Pawlikowskiego, majora Tadeusza Kornitowicza.

Zadaniem Komitetu będzie propaganda ideologii Stanisława Witkiewicza, nawiązanie do jego pracy i jej kontynuacja na terenie Podhala. Do Komitetu postanowiono zakooptować: prof. Kazimierza Kosińskiego i prof. Stanisława Pigionia z Wilna.

Życie towarzyskie uczestników kursu i wykładających było niezmiernie serdeczne i bliskie dzięki licznym mniejszym oraz większym wycieczkom: przez góry różnymi szlakami do Morskiego Oka, na Świnicę i t. d.

Po wykładach w dniu 30 lipca w sali „Sokoła” nastąpiło zamknięcie kursu przy udziale członków prezydium Zarządu Gł. Z. P. N. S. P., Komisji Krakowskiej, Łódzkiej, Zarządu i Rady Naukowej Powsz. Uniw. Region. Z. P. N. S. P., wykładających na kursie prof.: d-ra Jana Stanisława Bystronia, d-ra Jerzego Smoleńskiego, d-ra Tadeusza Brzeskiego, d-ra Stanisława Arnolda, kuratora krakowskiego Okręgu Szkolnego, p. Jana Owińskiego, komisarza Klimatyki d-ra J. Diehla, kustosa Muzeum Tatrzańskiego, Juliusza Zborowskiego, redakcji „Głosu Zakopiańskiego” i in.

W imieniu Rady Naukowej Powsz. Uniwersytetów Regionalnych prof. dr. Tadeusz Brzeski przedstawił myśli przewodnie programu kursu, mającego na celu zorientowanie w szeregu problemów „regionalizmu

polskiego” oraz propagandę ideologii, która z podłoża zagadnień gospodarczych, najdonioślejszych dla współczesnego państwa polskiego, przenikać ma w dziedzinę życia społecznego i umysłowego.

W imieniu Zarządu Gł. Z. P. N. S. P. i kierownictwa kursu złożył sprawozdanie z przebiegu prac wakacyjnych Powszechnego Uniwersytetu Regionalnego im. St. Witkiewicza — p. Aleksander Patkowski.

W imieniu uczestników przemawiał p. Franciszek Dąbrowski z Warszawy, wymieniając szereg odniesionych korzyści, zastanawiając się nad sposobem wyzyskania zdobytych wiadomości, dziękując wreszcie wykładającym i organizatorom.

Członkowie Powszechnego Uniwersytetu Regionalnego im. Stanisława Witkiewicza złożyli na ręce kierownictwa deklarację zbiorową na zakupienie maski Stanisława Witkiewicza, art. rzeźbiarza J. Rykały i umieszczenie jej w przyszłej siedzibie Powszechn. Uniw. Region. Z. P. N. S. P. w Zakopanem. X.

STRZAŁKI

AUTA I STARE SZKAPY

Pensjonat na Pogance pustoszał. Mówiono już tylko, kto kiedy wyjedzie i jak się dostanie do Porzecza — stacji kolejowej położonej o jakieś kilkanaście kilometrów od druskienickiego Zdroju.

Po rodzaju tej lokomocji poznać było można stopień zamożności kuracjuszy.

Najbogatsi, a może tylko... najlekko-myślniejsi... pozwalali sobie na Forda i Fiata, którymi dorabiali się studenci z Warszawy.

Panny druskienickie wolały wyrzec się lodów i ciastek w cukierni, aby tylko choć raz na tydzień zrobić wycieczkę którym z tych ryczących potworów.

Przyczem — występowały wyraźnie dwie walczące z sobą partje: Forda i Fiata.

Było jeszcze kilka innych prywatnych samochodów, ale już nie studenckie, więc... tylko w ostateczności... gdy tamte zawiodły...

Kogo nie było stać na samochód, dobił się o konie z dzwonekami — jedyne w całych Druskienikach — szybokrzydłe, mogące iść z autami w zawody!

Mniej zamożni, o ile mieli walizki z sobą, jeździli, a raczej wlekli się — prawie kwadrans kilometr — starymi fornalskimi szkapami za dziesięć złotych na samo miejsce.

Najtaniej wypadały autobusy zdrojowe, ale... dla tych bez rzeczy albo tych, co mieszkali w bliskości postojów.

* * *

Więc pensjonat „Znicz” pustoszał. Wyjechał już najmiłszy towarzysz, sędzia z Warszawy, pogodny optymista, pełen wiary w niezachwiany kurs złotego i... niezawodnie pomyślne wyniki kuracji.

Powiozły go konie z dzwonekami.



Z pękami róż na długich łądogach opuściły Fiatem „Znicz” śliczna pani majorowa z równie śliczną siostrą.

Odwiózł je — ku zazdrości wszystkich pań druskienickich — młody medyk, kontroler biletów w łaźniach i — pewnie poeta, bo brał z czytelni samych modernistów, futurystów, skamandrytów, czartaków i czytał aż do zapamiętania między jednym ostemplowanym biletom a drugim.

Jego oczy... czarne, wnikliwe. Oh, pękający granat tak nie pali... Myliły się kuracjuszki. Zamiast borowiny, wyciągały naczynową na inny dzień solankę lub kwasową, żeby tylko dłużej w nie patrzeć.

A on na wieczorkach tańczył tylko z tą jedną i odwiózł tą jedną..

Za parę dni miał wyjechać najdawniejszy gość pensjonatu — ładna, dobra i przeziębiona mamusia pięcioletniej lruchny, której marzeniem było wyjść zamąż za pastuchę gęsi. Przygotowywali się do odwrotu „starsi państwo.” On — emeryt, który sprzedał jakieś tam obligacje, żeby raz jeszcze w życiu nawdychać w chore płuca ozonu, i jego żona, która przetłumaczyła jakąś tam bardzo nudną powieść z angielskiego, żeby podleczyć zatwardziały kilkoletni ischias i zartretyzmowane stawy.

Staruszkowie obliczali fundusze. Zostało im jeszcze jakieś sto złotych. Podróż prawie darmo. 66 proc. zniżki na biletach — nagroda dla tych, co wyrzekli się zagranicy. Mogą pozwolić sobie na drugą klasę. Wypada coś około 15 zł. na dwie osoby. Służbie — ach, tyle tego!... Pokojówka, za którą pani starsza sama zawsze sprzątała, kucharka, pomywaczka Karolcia, która z dobrej woli przynosiła im do pokoju parę razy dziennie wodę prosto ze źródła... Pęknie 25 zł. jak nic. Dwa dni jeszcze niezapłacone w pensjonacie. Kilkanaście złotych trzeba zostawić na Warszawę.

— Może wystarczy jednak na Forda lub Fiata.

Staruszkowie marzyli, żeby użyć porządnej jazdy jeszcze raz w życiu.

— Oszczędzimy na czem innym. W Warszawie czeka mnie zaliczka na nowe tłumaczenie...

— Ja dostanę przecież swoje 120 zł emerytury za sierpień...

Postanowione zostało, że pani starsza, silniejsza w nogach, płucach i sercu od męża sklerotyka, astmatyka o rozdętej aorcie — pójdzie zaraz i zamówi Forda.

— Jabym wolał Fiata, bo lżejszy...

— Cóż tam lżejszy... Przecież nie będziemy pędzili, jak w apokalipsie. A ten student od Forda taki sympatyczny! Przytem — tamten już spłacił wszystko. Ten jeszcze musi dorabiać, żeby mieć wóz na własność... Brak mu jakieś sto złotych.

— Zarobi w ciągu dwóch dni.

— Ale trzeba mu dopomóc. Dlaczego nasze 20 zł. nie miałyby się przyczynić? Akurat jedna piąta...

Starszy pan rozkaszał się, a potem nie mógł tchu złapać. Serce mu stawało, jak zawsze, kiedy albo zmęczył się bardzo, albo trafiał na jakąś przeszkodę.

Trzeba było ustąpić. Starsza pani wychodziła już, żeby zamówić Fiata z mniej miłym studentem, gdy w progu drzwi stanęła Helenka, młodsza pokojówka, w kapeluszu, żakiecie i rękawiczkach.

— Co to? Idzie Helenka na spacer?... A któż wyda podwieczorek?...

Okazało się, że nie idzie na spacer, tylko już wyjeżdża ze wszystkim. Pani jej wymówiła, bo coraz mniej gości. Starczy jedna Zosia na wszystkich.

Przyszła pożegnać starszych państwa.

Ach, Boże!... W obliczeniu zapomnieli o niej. Przynosiła im codziennie śniadanie i podwieczorki do pokoju, usługiwała razem z Zosią przy stole, a czasami zastępowała ją w maźnięciu miotłą po podłodze, co nazywało się sprzątnięciem.

Ano trudno — starsza pani — rada nie rada — wyciągnęła z 20 zł., przeznaczonych na Forda, 10 zł. i wręczyła je Helence, życząc szczęśliwej podróży.

— Helenka pewnie zarządowym autobusem z przedparku do Porzecza?

Wyprostowała się dumnie i wyduła wargi wzgardliwie.

— Ktoby tam wózków z sobą pieszo koszyk taki kawał? Zmówiłyśmy się z drugą, co odchodzi z „Flory,” i pojedziemy z tym studentem, co ich jest dwóch. Tamta chciała tego bruneta, a ja uparłam się, żeby blondyn. Dałam za to trzy złote więcej — musiała przystać. Zaraz tutaj zajedzie, a potem — wstąpimy do Flory.

Istotnie, zaszumiało, zaryczało — stanął Ford ze studentem blondynem przed Zniczem. Helenka wsiadła ze swoim koszykiem. Znowu ryknęło, zatrzeszczało, zagulgotało tępo a niemile i już nie było ani Forda, ani Helenki, ani studenta blondyna...

Zostali tylko starsi państwo na werandzie ze swoim niefortunnym obliczeniem.

Już nie było o co sprzeczać się. Na podróż do Porzecza mogli byli teraz przeznaczyć tylko dziesięć złotych.

— Idę po Zagórskiego — odezwała się starsza pani, schodząc ze schodów.

Starszy pan kiwnął głową przyzwalająco.

Cóż było robić?... Muszą się wlec starymi fornalskimi szkapami dwie godziny.

Do autobusu zdrowego sami przecież nie poniosą waliz, a nając człowieka — wypadłoby tyle, co za Forda lub Fiata.

Uniwersytetu wileńskiego, gmachy szpitalne przeszły w jego posiadanie i mamy tam cały szereg klinik uniwersyteckich, które po większej części mają chorych z pośród żołnierzy, ale i każdy przeciętny wilnianin może się tam udać. Kliniki uniwersyteckie na Antokolu (chirurgiczna, wewnętrzna, dziecienna i t. d.) są jedną z największych pereł miasta Wilna.

Dzięki niestrudzonej pracy profesorów U. S. B., ofiarności wielu z nich, ma Wilno swój kącik europejski. Inaczej nie możemy nazwać szerokiego, olbrzymiego dziedzińca szpitalnego, który wyciąga się od jednej bramy do drugiej w długą ulicę, oświetloną elektrycznością, o wygodnych chodnikach, mającą z prawej i z lewej strony duże gmachy klinik. Nawet przez wielkie szyby okien widać śliczne sale i korytarze szpitalne, lśniące czystością, komfortem i posiadające wszelkie najnowsze urządzenia. (Podobno medycyna na Uniwersytecie Wileńskim stoi prawie najlepiej z polskich uczelni). Duży ogród, przylegający z jednej strony, jest starannie utrzymany, a pośrodku wznosi się kaplica szpitalna, tłumnie przez rekonwalescentów uczęszczana.

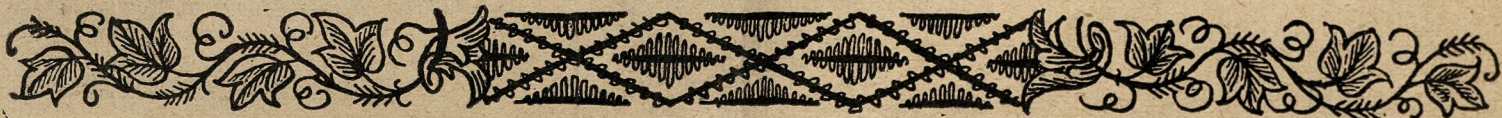
Najbardziej zaś chyba znamiennym jest to, że kliniki uniwersyteckie cieszą się takiem zaufaniem wśród mieszkańców miasta. Nieraz daje się słyszeć zdanie wygłaszane przez którą babinę: „Albo do kliniki na Antokolu, albo nigdzie. Jeżeli do „inszego” szpitala, to wolę „umarć” w domu”.

Z drugiej strony Wilna, na Zakrecie, mamy pracownie przyrodnicze, laboratorja przeróżne, ogrody uniwersyteckie, akwarja i t. d. Tam również wre praca naukowa. W tym roku pierwsi absolwenci opuszczają pracownię wydziału przyrodniczego i przygotowują się do prac doktorskich. Nie jest ich dużo i przeważają kobiety. Nawet koło przyrodników w ostatnim roku miało na swym czele koleżankę. Inaczej się dzieje na medycynie. Pierwsza partja, która ukończyła uniwersytet w jesieni r. z. jest bardzo liczna i przeważają słuchacze. Dużo też Żydów. Ostatnimi czasy, również z ramienia profesorów medycyny U. S. B. (prof. Stanisław Władyczko), utworzyła się w Wilnie przychodnia dla chorych na gruźlicę. W swoim lokalu, przy ul. Wileńskiej, a więc w śródmieściu, przechodnia sprawia przemiłe, a zarazem imponujące wrażenie, że w tak krótkim czasie na takim stanęła poziomie. Dotąd ogranicza się tylko do badania i konstatowania znamion choroby. Ale z czasem, a nawet w przeciągu krótkiego czasu, ma przychodnia gruźlicza roztaczać opiekę nad poszczególnymi rodzinami, dokarmiać gruźlicze dzieci, oraz uświadamiać szersze masy ludności co do niebezpieczeństw tej choroby i sposobów walki z gruźlicą.

I. Mackiewiczówna.

Z WILNA

Na jednym z piękniejszych przedmieść wileńskich, Antokolu, w malowniczym ogrodzie od dawien dawna był szpital załogi wojskowej. Teraz, od czasów wskrzeszenia

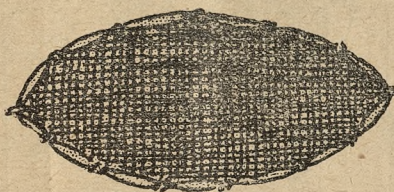


NAJMODNIEJSZE PASKI

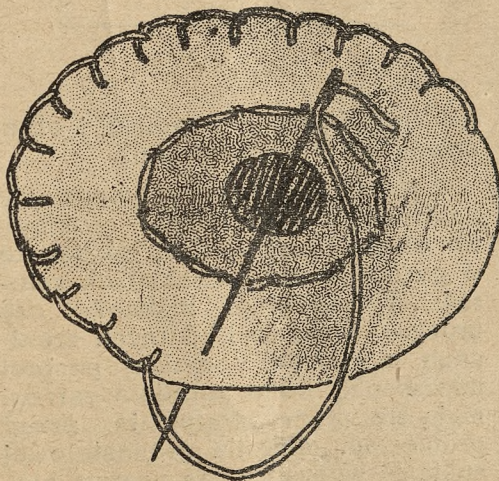


Moda szerokich pasków trwa w dalszym ciągu, ale kapryśna, nie zadawalnia się już zwykłym zam-szowym lub skórkowym paskiem, tak bardzo noszonym w lecie i tworzy tysiące odmian, mniej lub więcej strojnych i skomplikowanych, których kilka podajemy do użytku naszych Czytelniczek.

Pierwszy, to pasek z szarego zamszu, wyszywany w deseń z większych i małych kropek kolorową rafją lub sztucznym jedwabiem w żywych barwach. Drugi, na czarnej rypsowej wstążce lub aksamicie, ozdobiony aplikacją z jedwabnych kwiatków o pastelowych tonach. Listki są ze złotej



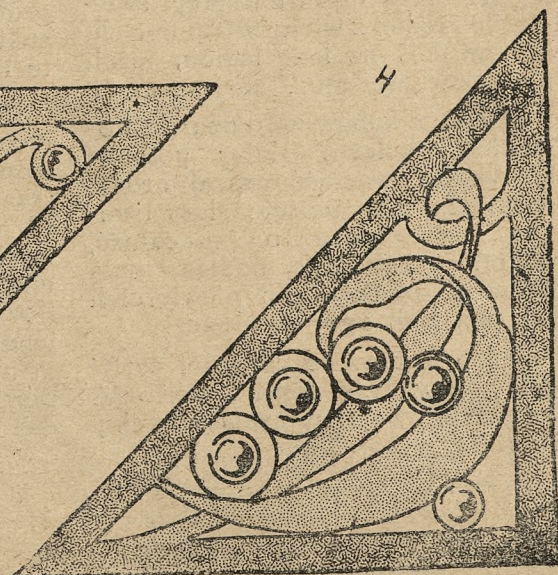
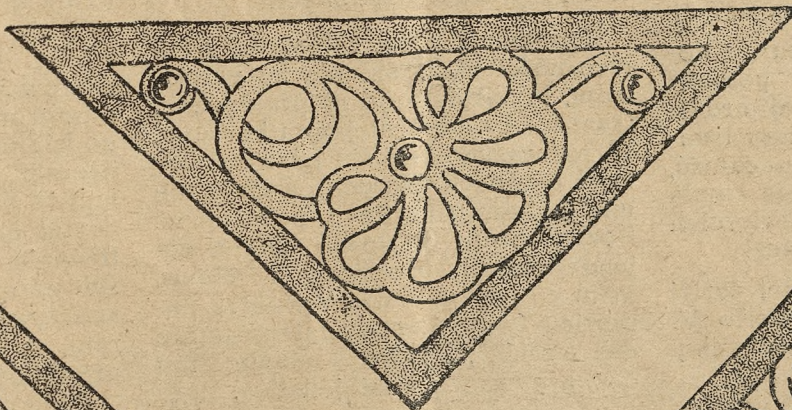
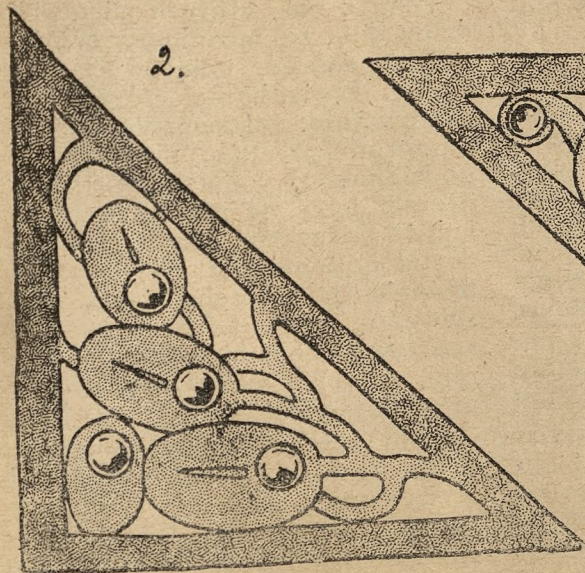
1



lamy, a wszystko przydziergane złotą nitką, jak na rys. 1.

Trzeci i czwarty, to paski ze skóry, wycinanej w deseń, które bez żadnej specjalnej umiejętności samej zrobić można.

Na kawałku skóry rysuje się przez kalkę którykolwiek z załączonych deseni (rys. 2, 3 i 4) i brzytwą albo bardzo ostrym scyzorykiem wycina się podług rysunku. Takie trójkątiki, ozdobione drewnianymi paciorkami, naszywa się na grubej rypsowej wstążce lub na pasku z cienkiego zamszu, pozostawiając je naturalnego koloru skóry lub malując na dowolne kolory.



AUTO...

II.

Kobieta w roli właścicielki samochodu aspiracjami swemi sięga dużo dalej, niż ten, kto w posiadaniu auta szuka wygody, niezależnego przenoszenia się z miejsca na miejsce, oszczędzenia czasu lub połykania przestrzeni z zawrotną szybkością, z którego tyle osób czerpie dużą dozę rozkoszy.

Jednocześnie to wszystko, dorzuca jeszcze potrzebę upiększenia swej maszyny, nadania jej cechy wyłączności, wyodrębnienia z pośród tylu innych, które w takiej czy podobnej szacie zewnętrznej z fabryki w świat wypuszczone zostały.

O ile „ona” żąda przede wszystkim i prawie wyłącznie siły i sprawności motoru, odporności na ilość pochłoniętych kilometrów, „ona”, zazdrosna o pierwszeństwo swego ostatniego a ukochanego kaprysu, stara się narzucić mu coś ze swej indywidualności, zwlec z niego szatę codzienną, w której narodził się, przeznaczony nie dla niej wyłącznie, a dla obcego przybysza, co wyciągnął po niego pożądaną rękę i sakiewkę, pełną złota!

Jakiż będzie pierwszy objaw serdecznego podporządkowania, jeżeli w grę wchodzi włoski Fiat, zamorski Cadillac, czy dumny a arystokratyczny Rolls Royce, tak godnie sławę angielskiego przemysłu na szerokim reprezentujący świecie, lub jeden z wielu, wielu innych, którym dziś na imię legjon, jeżeli nienarzucenie mu... barwy naszej.

Któż z kobiet nie rozumie doniosłości koloru? Kolor podnosi lub obniża wartość naszej urody, podkreśla albo tuszuje pluse i minusy cery, rzuca ton na całość, wykończa, retuszuje, dodaje ciepła liljowym płątkom lic niewieścich lub gasi zbyt żywe rumieńce!

Jeden jest wśród całej tej żywej gamy barw, królewski i berło po wszystkie dzierzący czasy, weselny i świetny kolor biały!

Któż z uprzywiljowanych właścicielek auta nie pomyślała w pierwszej radosnej chwili posiadania o zwleczeniu z niego ciemne-



go urzędowego munduru i obleczeniu go w godową biel?

A jednak, pomimo dystygowanie neutralnego tła, jakim pociąga tak złotowłosa Loreley, jak bogatą w gorący bronz jedwabistych splotów Tycjanowską piękność czy kruczo-włosa, o błękitnych źrenicach a wiotkiej i smukłej postaci mieszkankę krain południa, zatrzymają się, pełne zwątpienia, przed problemem oddania gronostajowej sukienki wybrańca na pastwę błota i pyłu dróg rozstajnych!

Rezygnacja, jaką zgłoszono z konieczności bieli, skłania ku przejściom, przejściom od niepraktycznej jasności ku odporniejszym barwom. W pierwszym rzędzie nasuwa się myśl o tonach szarych, wydają się one jednak smutne i pokutnicze! Pozostawałby perłowy, gdyby nie jego nastrój uroczysty i miano, jakie za nim przyszło z wnętrza paryskich świątyń mody, miano „mère de mariée”, które nadaje mu cechę powagi i dostojeństwa.

Dzisiaj, w epoce, kiedy kobieta winna być od stóp do głów utrzymana w jednym tonie, najpraktyczniej będzie zdecydować się na ko-

lor taupe lub jeden z wielu bogatych i różnorodnych odcieni bronzu, a ryzyko zbyt ostrego odcinania się od tła będzie uchylone.

Wykwintna świeżość zadecydowanej barwy—to pierwszy zaledwie krok na drodze nadania maszynie indywidualności. Pozostaje jeszcze mistrzostwo szczegółów i drobiazgów, które wykończają tak ślicznie, wykwintnie i subtelnie!

A więc, inicjały właścicielki, umieszczone w misternym owalu, kółku czy prostokącie, rozwarłe do lotu skrzydła egzotycznego ptaka lub boski kształt wykutej w bronzie boginki, Budda czy skarabeusz, sowa, pszczoła czy też Sfinks wieczyście tajemniczy, słoń czy niedźwiadek, zgodnie z upodobaniami czy wizerzeniami lub upodobaniami tej, co kontur ich wśród wielu innych wybrała, aby, zdobiąc nim korek radiatora, cieszyć wzrok artystycznym wykonaniem i odrębnością pomysłu.

Pozostają jeszcze do wykorzystania w dziedzinie udoskonalenia i upiększenia zewnętrznego wyglądu auta codzienne malowanie opon na kolor czarny lub biały, tak często zagranicą praktykowane, zmiana karoserji, stosownie do pogody, nikłowy pręt, umieszczony na przodzie samochodu, a trudne do przetłumaczenia na język polski miano „pare-choc” noszący, no i wreszcie lalka fetysz, bez której nie ruszy się w drogę żadna kierująca autem kobieta.

Temi z nas, których minuty i godziny dnia są mozolnie rozłożone między szereg uciążliwych zajęć i prac, zaniedbanie których spowodowałoby zatrzymanie z trudem puszczanej w ruch maszyny dnia codziennego, musi wstrząsnąć dreszcz lęku na myśl, że oto zaledwie początek syzyfowej pracy został dokonany z chwilą przygotowania tła! Trzeba teraz nadać sylwetce swej kontur doskonale sportowy, aby, nie odskakując od ram, w jakich się ukaże, stworzyła artystyczną całość.

Strój samochodowy winien być w pierwszej linii wykwintnie prosty i skromny! Żadnych jaskrawych barw, prócz dyskretnie ożywiającego haftu na wyłogach skó-

rzanej czapeczki lub wstęgi barwnego szala, który rzuca weselszy ton na poważną całość.

Jeżeli nie jesteśmy krępowane względami materialnymi, możemy łatwo rozwinąć mistrzostwo w kompletowaniu naszego rynsztunku samochodowego!

Skóra i futra! Na lato płaszcz lub kurtka z zamszowej czy glansowanej skóry, takąż czapeczka, lekka i fantazyjna, jeżeli droga niedaleka i sprzyjająca aura nie wymagają założenia okularów. Lotniczy hełm, osłaniający doskonale całą głowę, uszy i szyję, w razie dalszych wycieczek, kiedy narażone jesteśmy na wiatr, kurz, a i deszcz niejednokrotnie. Obuwie zawsze sportowe, odporne na wszelkie drogi i wygodne. Pod płaszczem plisowana swobodna spódniczka, bluzeczka z surowego jedwabiu z barwnym krawatem w tonie kamizelki czy sweatra albo kostjum sportowy z lekkiej wełny. Rękawiczki grube, łatwo się piorące, gdyż po jednej drodze są już zwykle brudne i niemiłe w użyciu.

Wczesną wiosną i jesienią, kiedy pogodne i piękne jeszcze słońce daje złudę ciepła, trzeba pamiętać o chłodnych rankach i wieczorach, które w aucie dają się łatwo we znaki!

Najodpowiedniejszym będzie wówczas płaszcz ciepły z miękkiego, czysto wełnianego puszystego materiału z doszytymi od spodu watowymi klapami, które, zapinając się z przodu, wykończone są prostym, skórzanym pasem, formującym kołnierz.

Płaszcz niezależnie od klap tych zapina się z przodu lub boku, nakrywając je częściowo lub całkowicie. Okrycie takie ze skórzanym paskiem, głębokimi kieszeniami, też skórą wykończonymi, i rękawami lekko podwatowanymi, dostatecznie chroni od chłodu, który w aucie, pomimo słońca, daje się łatwo we znaki. W zimie, jeżeli auto jest kryte, a

przytem, jak wszystkie dzisiejsze komfortowe maszyny, ogrzewane, łatwiej uchronić się od przeziębienia, niż w czasie, kiedy cudowna wiosenna lub jesienna pogoda każą nam korzystać z powietrza i słońca, a co zatem idzie — nie odgradzać się od nich podniesioną budą czy zamkniętą karoserją, dla-

prędko i tracą świeżość, która jest koniecznym warunkiem ich dodatniego wyglądu.

Wykwint i prostota muszą być wytyczną stroju samochodowego, równie ważnym jest dostosowanie go do niespodzianek, na jakie zawsze w dalszych wycieczkach jesteśmy narażeni!

Jakże godną litości a śmieszna zarazem będzie osoba, którą zaskoczy w drodze poważne uszkodzenie maszyny, narażając równocześnie na marsz pieszły lub jakąś przygodną a mało wykwinną lokomocję, jeżeli zamiast wygodnego, sportowego ubrania, które powinno być zawsze w najlepszym gatunku, aby wszelkim konfliktem mogło zwycięsko stawić czoło, odziana będzie w jakieś jedwabne mgiełki, nad którymi, w przytoczonym wypadku, z konieczności krzyżek postawić trzeba.

Niema gorszego kłopotu i gruntowniejszego popsucia sobie przyjemności nad niewolniczość i zależność od własnych szat!

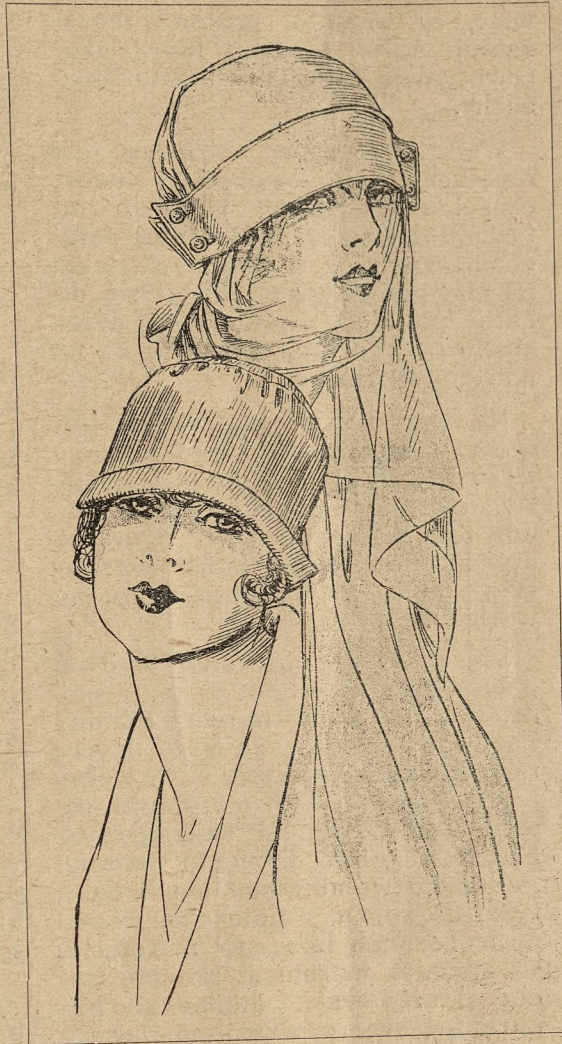
Koniecznym dopełnieniem całości jest jeszcze pled, jaśniejszy i lżejszy w lecie, a grubszy, najlepiej z wielbłądziej wełny lub podbity futrem, w okresie mrozów zimowych.

W tyle samochodu winien być zawsze umieszczony na tak zwanym bagażniku specjalny kufer samochodowy z czarnej skóry, z przegrodami na mniejsze i większe walizki, bez których tak trudno wybrać się w najbliższą nawet drogę, zwłaszcza

żywszy konieczność odświeżenia się i przebrania po podróży samochodem.

Nic nie niszczy tak bardzo auta i kufrów, jak przytracanie ich do maszyny lub wożenie na siedzeniach, a przyznać musimy, że po trosze upiększenia maszyny pierwszą jest troska utrzymania jej jak najdłużej w nieskazitelnej świeżości!

W. D.



tego też w dziedzinie futer możemy wybierać nie najcieplejsze, a te, które darzymy specjalnymi względami z upodobania czy chęci dostosowania się do mody.

Praktyczniejsze do drogi będą zawsze płaszcze, podbite futrem, niż fokowe, krecie czy inne, włosiem do zewnątrz noszone. Te, delikatne i łatwo podlegające rozdarciu czy rozpruciu, niszczą się



KILKA SŁÓW O KILIMACH

Główną przyczyną chaosu, jaki powstał i istnieje nadal w doborze wzorów na kilimy, były zbyt wielkie wymagania ogółu względem techniki prymitywnej, która im poddać nie mogła.

Spółeczeństwo, przyzwyczajone do różnorodności wzorów na wyrobach zagranicznych, pragnęło mimowoli, by kilim zastąpił wszystko to, czego zagranica dostarczała, a czego podczas wojny brakło; zarazem chciało, by kilim nosił piętno nowej polskiej twórczości, by miał polski styl.

Nie myślano o tem, ile przeróżnych maszyn służy zagranicą do wytworzenia całego szeregu tkanin, używanych jako dywany i że każda z maszyn wytwarza sobie tylko właściwe wzory; nie myślano, że kilimy są pierwotną formą tkactwa, silnie ograniczoną w swoich środkach i że nie można od nich wymagać, by były czemś więcej, niż być mogą.

Co do stylu zaś — powstanie on samorzutnie, gdy do twórczości i produkcji wprowadzi się ład, gdy z bogactwa form wybierze się niektóre tylko formy, najbardziej odpowiadające duchowi danej gałęzi sztuki czy przemysłu. Kilimkarstwo z ostatniego 10-lecia było bezstylowe, nie uwzględniono w niem bowiem podstawowych zasad tkactwa. Były wprawdzie wyjątki, były pracownie, produkujące rzeczy poprawne, a czasem i piękne, wyglądały one jednak jak oazy na pustyni.

Jakie formy zdobnicze są najbardziej zgodne z techniką kilimową? Łatwo jest odpowiedzieć ogólnie: „ponieważ kilimy są najprostszą formą tkactwa, odpowiadają im najprostsze, zasadnicze wzory tkackie“. W szczegółach jednak określenie jest trudniejsze.

Przedewszystkiem należy stwierdzić, że nazwa „kilimów“ oznacza w naszym języku dwa rodzaje tkanin: jedne są sporządzane na warsztacie poziomym, drugie — na pionowym. Wspomniałam już w pierwszej części artykułu o nieporozumieniach, wynikłych wskutek przenoszenia wzorów z jednego warsztatu na drugi. Chciałabym teraz zestawić zwięźle różnice, zachodzące między obu warsztatami, by ułatwić odpowiedź na postawione pytanie.

Warsztat poziomy to pierwszy zawiązek tkactwa maszynowego, którego szczytem jest wspaniała

maszyna Jacquard'a; prosty i nieskomplikowany, prosi się wprost, by długą i uciążliwą pracą ręczną (kilim tka się ręcznie) zastąpić jakimś mechanizmem, co się też dzieje, jeśli zamiast kilimu zacznie się na nim tkać płótno. Widzimy więc, że warsztat poziomy reprezentuje świat maszyny, który wzorowi nadaje charakter stosunkowo suchy.

Warsztat pionowy natomiast jest reprezentantem swobodnej twórczości artystycznej; istniejąc od tysięcy lat, nigdy nie został zmechanizowany, a w tkaninach, jakie na nim powstawały, zbliżał się do haftu płaskiego i malarstwa przez możliwości techniczne, jakie są na nim dopuszczalne.

Na warsztatach pionowych bowiem wykonano w ciągu wieków wysoko cenione tkaniny koptyjskie, słynne arras i gobeliny francuskie lub też średniowieczne figuralne dywany norweskie, mniej wprawdzie znane, lecz, mimo to, pełne wdzięku.

Dlaczego w potocznej mowie przysługuje tkaninom z obu warsztatów ta sama nazwa kilimu? Zapewne dlatego, że przy użyciu tego samego materiału — tj. wełny i sznurka lnianego, otrzymuje się dwie pod względem zewnętrznym bardzo podobne do siebie tkaniny. Podobieństwo odnosi się jednak tylko do jakości i polega na wspólnych cechach użytego materiału. W rysunku natomiast zawsze zachodzi różnica, choćby się posłużono tym samym wzorem. Zawsze cechą kilimu pionowego będzie linja miękka, falista lub zaokrąglona, natomiast rysunek, silnie geometryzowany o kanciastym konturze, operujący płaszczyznami o charakterze poziomym i ornamentem raczej jak formą naturalistyczną będzie cechować warsztat poziomy. A zresztą i u nas starano się uwydatnić różnicę między obu tkaninami, nazywając kilim pionowy „rysowanym“. ¹⁾

Z powyższego rozgraniczenia ornamentyki kilimowej wynika, że

¹⁾ Nazwa pochodzi stąd, że wzór rysuje się wprost na sznurkach cz. na osnowie, tak jak wzór do haftu rysuje się na płótnie. Do kilimu poziomego wzór narysowany jest osobno tak, jak n. p. do robót na kanwie.

²⁾ W warsztacie pionowym jest on naciągnięty pionowo cz. stojąco.

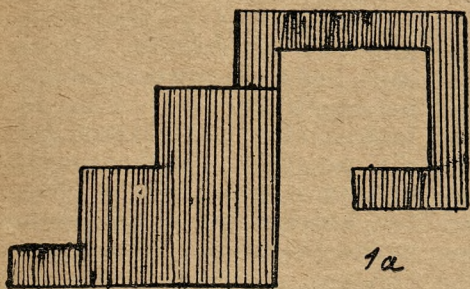
wszelkie wzory, oparte na naturze, posługujące się kwiatami i innymi formami swobodnymi, nadają się raczej na warsztat pionowy. O ile ktoś pragnie wykonać je na warsztacie poziomym, musi je nagiąć do wyżej wymienionych wymagań tego warsztatu, co się nie zawsze uda i wymaga wiele dowcipu i pomysłowości. Często jednak rozgraniczenie to spotyka się ze zdziwieniem i lekceważeniem u właścicieli pracowni kilimkarskich, często jako odpowiedź słyszy się, że „wszystko, co się da utkać, jest ornamentem kilimowym, a im więcej trudności technicznych się spiętrzy, tem większą jest wartość kilimu“.

Ostatni argument nie jest decydującym, bo w każdej dziedzinie życia (tańce, muzyka, malarstwo i t. d.) istnieje cały szereg bardzo kunsztownych możliwości, których się nie wykorzystuje, gdyż są nieestetyczne, niepraktyczne, niewygodne.

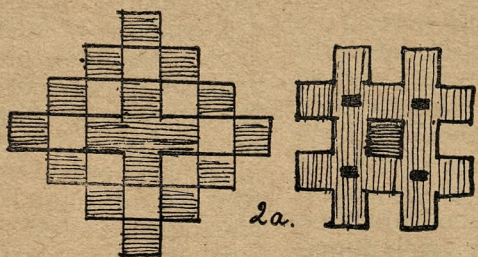
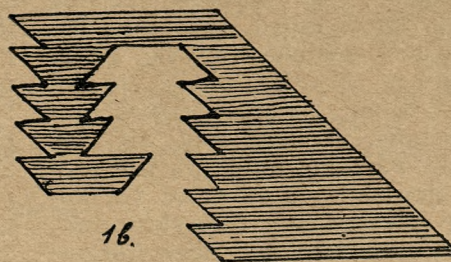
Ponieważ swobodny ornament gobelinowy jest naogół zrozumialszy, a większość wadliwych rozwiązań ornamentalnych dotyczy kilimu poziomego, dorzucę jeszcze kilka szczegółów na temat tego ostatniego.

Jest to tembardziej na czasie, że większość pracowni, istniejących w Polsce, posługuje się warsztatem poziomym i na nim tka te wszystkie rodzaje kilimów, o jakich pisałam w części pierwszej.

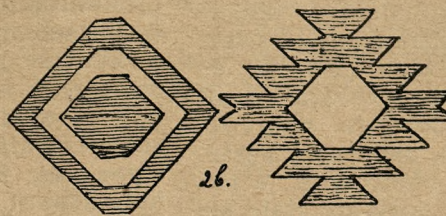
Nazwa warsztatu „poziomego“ pochodzi stąd, że materiał, na którym powstaje tkanina — t. zw. postaw albo osnowa — jest naciągnięty na warsztacie poziomo (leżąco). ²⁾ Materiałem tym są nici konopne lub lniane, dzielone osobnym mechanizmem na dwie części, górną i dolną, między którymi powstaje przedział. Przedziałem tym — wpoprzek osnowy — przerzuca się ciągle przędzę wełnianą od strony lewej w prawą i z powrotem tak, że wełna robi nieustanny spacer tam i nazad przez całą szerokość warsztatu. Za każdym przerzuceniem wełny przybija się ją również na całej szerokości warsztatu przyrządem, zw. płochą. Nitki postawu, których bywa kilkaset albo i więcej, krzyżują się przy każdym przybiciu z wełną, przytrzymując ją i tworząc z nią plecionkę mniej więcej taką, jaką jest zwykła mata słomiana lub c'ra na pończosze. Ple-



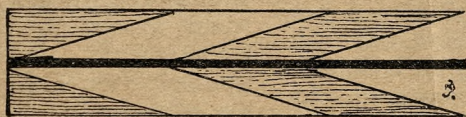
1 a. Forma dywanowa.
1 b. Ta sama forma, przy-
stosowana do kilimu.



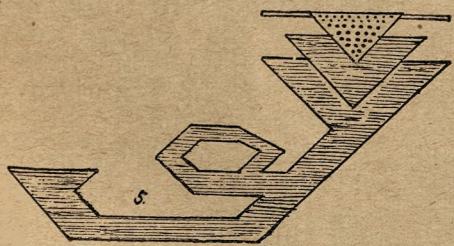
2 a. Formy dywanowe, mylnie prze-
noszone na kilim.



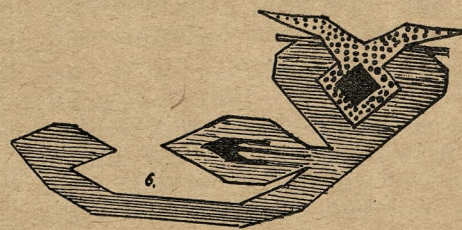
2 b. Formy właściwe kilimowi, wyko-
nanemu na warsztacie poziomym
z płochą.



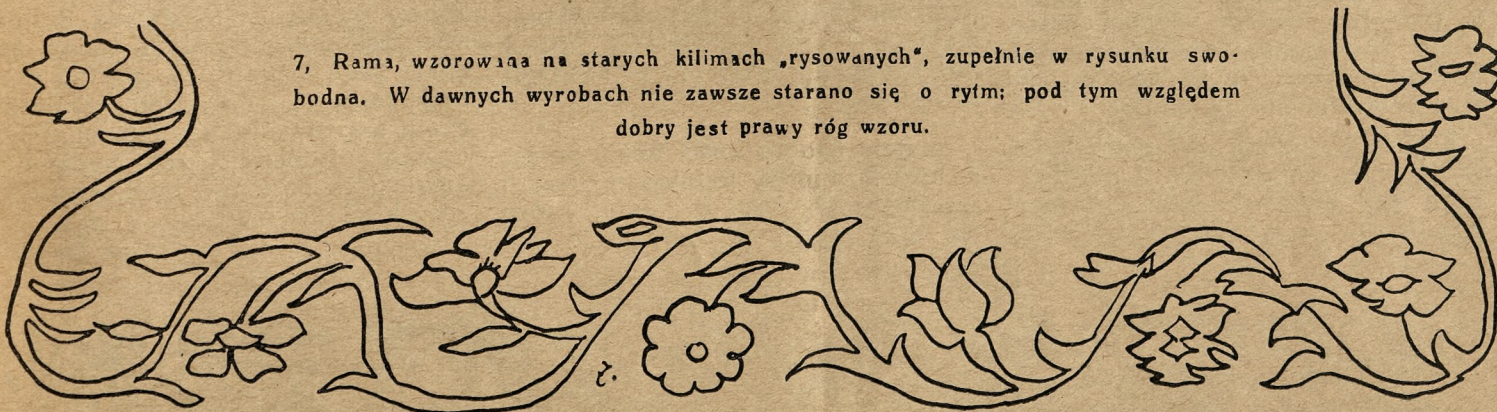
3 i 4. Motywy bardzo częste w ludowych pasiakach, zwane w ruskich kilimach „wodą”. Formy te, podkreślające kierunek poziomy dla poz. warsztatu, są typowe.



5. Motyw cha-
rakterystyczny
dla poziomego
warsztatu.



6. Motyw przej-
ściowy między
kilimem zwy-
kłym a „rysow-
wanym”.



7. Rama, wzorowana na starych kilimach „rysowanych”, zupełnie w rysunku swo-
bodna. W dawnych wyrobach nie zawsze starano się o rytm; pod tym względem
dobry jest prawy róg wzoru.

cionka ta w tkactwie zowie się „splotem“ prostym lub płóciennym, używanym przy wyrobie płótna, kanwy, tafty, rypsu, muslinu i batystu. Jeśli zastanowimy się, że na tej samej zasadzie plecie się koszyc z wikliny, matę a nawet płótki chróściany, zdumiejemy się, jak wielkie zastosowanie ma tak proste zjawisko, a zarazem jak potężną rolę gra w przemyśle materiału, który w tym wypadku stanowi istotną różnicę między matą a kilimem, płótnem a taftą.

Nie we wszystkich jednak tkaninach splot jest widoczny. W kanwie wpada on natychmiast w oko, w płótnie dostrzega się go także bez trudu — natomiast w kilimie znika splot zupełnie z powierzchni. Dzieje się to z tego powodu, że wełna jest o wiele grubsza od nitki osnowy i łatwo je pokrywa; ubijana zaś silnie, układa się gęsto, tworząc jednolitą płaszczyznę. W ten sposób kierunek poziomy staje się w kilimie decydujący, linja pozioma jest tu elementem twórczym a tem samem musi nadać ton całości.

Ubijanie wełny potęguje tę rolę kierunku poziomego, gdyż pod na iskiem płochy i narastających warstw wełny każda forma ma tendencję do spłaszczenia się; n. p. kwadrat łatwo zamienia się w prostokąt. Można wprawdzie — uważając — rachować pożądaną wysokość, nie spłaszczając formy, lecz każdy, kto miał sposobność obserwowania szeregu kilimów w robocie, mógł zauważyć, jak często motywy tkackie traciły cały wdzięk przez wyciągnięcie ich w kierunku pionowym, a odzyskiwały go przez spłaszczenie ku poziomowi.

I oto mamy podstawowe w kilimie zagadnienie linii poziomej i pionowej. Z techniki wynika zasada, przestrzegana we wszystkich wzorowych tkaninach, że linję pionową redukuje się do minimum, a ornament, budowany przez linję poziomą, wykazuje zawsze tendencję do podkreślania tego kierunku. Z techniki również wynika przewaga ornamentu płaszczyznowego nad liniowym (takim, jaki się rysuje ołówkiem na papierze).

Dlaczego jednak tak mało ludzi spostrzega, że brzydka i niewłaściwą jest linja pionowa, biegnąca bez przerwy od początku do końca

kilimu? Dlaczego godzą się tak często na operowanie ornamentem krataczkowym? Sądzę, że większość daje się porywać grze kolorów i, ulegając wrażeniu kolorystycznemu, nie zwraca uwagi na sens i wdzięk rysunku. W Małopolsce przyzwyczały się oczy do nadmiaru linii pionowej na wspomnianych przeze mnie w pierwszej części ludowych ruskich kilimach — wreszcie wpływ swój wywarł pewien rodzaj kilimów, zw. „karamanją“. Nazwa i sposób robienia pochodzi z Małej Azji; tkaniny w tym rodzaju przywożono też z krajów pld. — słowiańskich (Serbja, Bośnia, Hercegowina, Chorwacja) Są to kilimy, robione przeważnie na pionowym warsztacie z cienkiego materiału o bardzo drobnymi i gęstym wzorze; kontur, oddzielający dwa kolory, stanowił zazwyczaj linję schodkową, naprzemian pionową i poziomą. Na pionowych granicach były szpary, sprawiające wrażenie roboty ażurowej. U nas naśladowano karamanję często grubym materiałem, powiększając szpary na dziury i zbrzydzając powiększeniem ornamentu.

Pośrednią między pionem a poziomem jest linja skośna i falista. Ta ostatnia nadaje się na warsztat pionowy, przy którym brak płochy pozwala na odchylenia i falowania; dla kilimów poziomych charakterystyczne są „skosy“ t. j. linje mniej lub więcej pochyle, tworzące kontury figur i łączące linje poziome. Ich użycie pozwala na wyszukanie ciekawych form tkackich; jeśli się używa tylko jednego skosu, łatwo wpaść w monotonię, o wiele jednak niebezpieczniejszym jest używanie dużej ich ilości.

Kontur zaokrągla się wprawdzie, ale nie daje ani zdecydowanej linii okrągłej, ani czystej łamanej; zatracą się przytem przewaga poziomu. Rysunek staje się chwiejny, nieokreślony, bez sensu; wszystkie te przymiotniki można z czystym sumieniem przypiąć tkanym makom, malwom i innym kwiatkom, które na szczęście, znikają z naszych pracowni.

Istnieje pewna ilość form przejściowych między jednym a drugim warsztatem — są projekty, które się dają tkać i na warsztacie po-

ziomym i pionowym; te muszą być jednak odpowiednio komponowane. I wtedy, mimo obliczenia, projekt kilimu rysowanego traci wiele na poziomym warsztacie. Projekt taki musi być zrobiony przez wytrawnego artystę, który wie, co się da wykonać na obu warsztatach bez ujemy dla pomysłu. W ten sposób komponuje często, n. p. p. Miecz. Treter, którego projekty są tkane przez znane pracownie kilimkarskie.

Przeważna część wzorów, zwłaszcza starych, tkanych wprost na pionowym warsztacie bez poprzedniej kompozycji, jak robiono, zdaje się, stare rzeczy, nie nadaje się do przerabiania. Kilim zdobył już sobie stanowisko w naszym społeczeństwie; jest chętnie widziany i poszukiwany dla ozdoby mieszkań. Na wystawach zagranicą (ostatnio na międzynarodowej wystawie sztuki stosowanej w Paryżu) reprezentuje wśród innych działów sztuki stosowanej Polski. Tembardziej jednak powinno zależeć wszystkim na racjonalnym rozwoju tej gałęzi przemysłu artystycznego. Jeśli kupujący ogół nie uświadomi sobie tego, co stanowi artystyczną wartość przedmiotów, ściśle z urządzeniem mieszkań i z życiem ludzi związanych, może spowodować upadek tak dobrze rozwijającego się przemysłu.

Jeśli, pod wpływem opinii i na podstawie ciągłego kształcenia się, wytwórcy nie postarają się o podniesienie poziomu swych wyrobów, sami sobie przyszłość podkopią.

Gdyby rząd zniósł dzisiejsze cła wysokie. Niemcy zasypałyby nas wagonami tanich fabrycznych wyrobów. Któż spojrzy wtedy na droższy kilim, jeśli on nie będzie przemawiać do człowieka czarem swoistego piękna?

A tymczasem kilim poziomy powinien pozostać na zawsze „dywanem“ dla szerokich sfer społecznych, dla ludzi bogatszych może być kilim rysowany tem subtelniejszy i bogatszy, im większy wkład będzie możliwy. Ponieważ gobelinów dziś nikt nie opłaci, lepiej, zamiast tkać krajobrazy, zostać przy pejzażach i obrazach malarzy, czem się przysłuży nabywca sztuce czystej. Aplikacje zaś wycinać z sukna (jak powinno być), wieszając obok kilimów.

Marja Zawadzka



REFORMA GOSPODARSTWA KOBIECEGO

ELEKTRYCZNE DOMY ROBOTNICZE

Prędzej, niż sądziłyśmy, przytoczyć możemy dowód, iż prawo demokratyzacji zdobyczy techniki, nawet najzbytłowniejszych w stadium pierwiastkowym, nie zawodzi także w interesującej nas dziedzinie. Tym sposobem traci swoje ostrze zarzut źle pojętego radykalizmu (trudniejsza sprawa z obiekcjami reakcji, na które jedynym lekarstwem—czas i konieczności życiowe); reforma gospodarstwa kobiecego przestała już obejmować szczupłą garstkę zamożnych gospodyń.

Depesza do paryskiego „Quotidien'a“ donosi, iż w pierwszych

dniach lutego w przedmieściu Londynu, Woolwich, wykończono cztery elektryczne domy robotnicze. Powstanie swe zawdzięczają one prawdopodobnie propagandzie na wystawie w Wembley, gdzie wznosiła się, jako jedna z największych sensacji, całkowicie zelektryfikowana willa.

Każde mieszkanie robotnicze składa się z salonu, sali jadalnej, trzech sypialni, kąpielowego pokoju i t. d. Miasto dostarcza piecyk kuchenny. W przeciagu paru minut zlew do mycia naczyń i wanna napełniają się gorącą wodą. We wszystkich pokojach zaprowadzono kontakty i kaloryfery, dowolnie regulowane. Odtąd, jak zauważył

sprawozdawca „Quotidien'a“, nie będzie już czyszczenia kominków, a więc, posypywania podłóg popiołem, zaoszczędzi się też gospodyni dźwigania paliwa, mozolnego, zwłaszcza przy angielskim systemie podsycania ognia.

Budowę uskuteczono tanim kosztem, dzięki nieobecności drogich kominów; dlatego można było ustalić tygodniowe komorne w wysokości 12 szylingów. Cena opału i światła wynosi przeciętnie 7 szylingów 7 pensów tygodniowo. Jak mnie poinformowano, są to zwykłe koszty, które z łatwością poniesie wykwalifikowany robotnik angielski, jak wiadomo, bardzo do brze płatny. F. S.

MLEKO HOMOGENIZOWANE

Mleko jest zawiesiną drobnych kuleczek tłuszczu i drobnych cząsteczek białka w wodnym roztworze białka, cukru i soli.

Kulki tłuszczowe są bardzo małe, o średnicy $\frac{1}{1000}$ do $\frac{1}{100}$ milimetra. Wskutek przyciągania cząsteczkowego (molekularnego) między kulkami tłuszczu a cząsteczkami białkowymi, z tych ostatnich tworzy się na kulkach tłuszczu powłoka; nie dopuszcza ona do zlania się kulek tłuszczowych. Płyn, w którym kulki te są zawieszony, ma pewną lepkość, co również utrudnia ich zlewianie się. Dzięki powyższym własnościom, zawiesina ta (emulsja) może się utrzymać niezmienną, zresztą tylko przez pewien przeciąg czasu.

Ciężar kulek tłuszczowych w stosunku do ciężaru płynu, w którym są zawieszony, jest bardzo niewielki, wskutek czego właśnie po pewnym czasie podnoszą się one do góry, tworząc na powierzchni mleka warstwę tłuszczu — śmietankę. I w śmietance kuleczki tłuszczu są od siebie oddzielone, ale przy ogrzewaniu mleka ulegają one pewnym zmianom: część ich łączy się, tworząc warstwę tłuszczu, której już nie można zemulsjonować (przeprowadzić z powrotem w zawiesinę). Tłuszcz, tak zmieniony, łatwo się utlenia (oksyduje) i nabiera zapachu łoju oraz specjalnego smaku, co czyni mleko niezdatnym do użytku. Zauważono, że trwałość

zawiesiny tłuszczowej jest tem większa, im mniejsze są kuleczki tłuszczowe. Otóż tę własność użytkowano przy homogenizacji mleka. Chodzi tu o jaknajwiększe rozdrobnienie kulek tłuszczowych, co się otrzymuje drogą czysto mechanicznego działania.

Nieskończenie małe cząsteczki tłuszczu tracą zupełnie zdolność zlewania się, jak również wznoszenia się do góry. Stąd na mleku takim nie może już utworzyć się śmietanka, a nawet niema sposobu jej wydzielenia. Możemy poznać pod mikroskopem mleko homogenizowane po niezmiernym rozdrobnieniu kulek tłuszczowych. Takie mleko, poddane sterylizacji przy 108°, może się przechowywać bez zmian całe miesiące, a nawet lata. Oczywiście, trwałość i dobroć takiego mleka zależy, czy homogenizację wykonano dość starannie i precyzyjnie.

Własności fizjologiczne. Homogenizacja mleka powiększa

w znacznym stopniu jego strawność i przyswajanie jego licznych składników odżywczych. Próby wykazały, że mleko homogenizowane (pod wpływem kwasów lub podpuszczki) ścina się (krzepnie, koaguluje się), dając skrzepy lekkie, porowate, łatwo przenikliwe dla soków trawiennych, a płyn mleczny szybko się z nich wydziela. Te własności różnią go bardzo od skrzepów (coagulum) o jednolitej zbitej masie, które się otrzymuje w tych samych warunkach z mleka świeżego lub sterylizowanego, a zarazem zbliżają je do ściętego mleka kobiecego. W mleku homogenizowanym kulki tłuszczu są, jak wiemy, niezmiernie rozdrobnione, a w czasie koagulacji nierozpuszczalne cząsteczki kazeiny otoczone są cienką warstwą substancji tłuszczowej, która przeszkadza ich zlania się — to właśnie wpływa na tworzenie się tych porowatych „kruchych“ skrzepów, łatwo się rozsypanych. Ta zmiana w ścinaniu się mleka sprzyja właśnie działaniu soków żołądkowych na kazeinę i ułatwia do pewnego stopnia późniejsze działanie soków w jelitach. Poza tem te rozdrobnione kuleczki tłuszczu w zawieszynie mogą być w tej formie już wessane przez komórki jelit do naczyń mlecznych. W każdym razie sprawdzić ich odbywa się daleko łatwiej, a stąd i praca trawienna jelit znacznie jest ułatwiona i zmieszona.



OBIADY NA MASZYNCIE

(Na trzy osoby).

1) Kapuśniak z boczkiem.

Grzyby duszone w śmietanie.

Grzybek z jabłkami.

Ćwierć kilo boczku nastawić z półtora litra wody; gdy się zagotuje, włożyć pół kilo uszatkowanej słodkiej kapusty (bardzo małą całą lub pół średniej główki), dodać parę ziarn pieprzu, listek, obraną i pokrajaną w paski cebulkę i soli do smaku. Gdy boczek i kapusta zmiękną, rozbić łyżką mąki w pół szklance wody, wlać to w kapuśniak. Jednocześnie uszatkować drobno jedno duże lub dwa małe jabłka, wrzucić w zaprawiony kapuśniak, pogotować jeszcze pięć minut, zdjąć z maszynki i wstawić w gniazdo.

Pół kilo ładnych, młodych grzybów: borowików, mchowików lub podosiniaków, pokrajać na cienkie paski. Grzybów nie należy nigdy myć ani moczyć, lecz jaknajstaranniej sucho je oczyścić nożem i wilgotną ściereczką; przy myciu traci się dużą część aromatu i grzyb się staje śliski, nasiąka wodą. W niedużym rondelku rozpuścić łyżkę masła, włożyć na nie pokrajaną drobno średnią cebulę, zasmażyć lekko, nie rumieniąc, włożyć grzyby, osolić i smażyć, mieszając aż sos z siebie puszcza, przykryć pokrywą i dusić minut dziesięć, opieprzyć nieco, zaprawić łyżką mąki, rozbitej w pół szklance wody, dodać pół szklanki kwaśnej śmietany, pogotować jeszcze jedną minutę tylko. Zdjąć z ognia i wstawić w drugie gniazdo. Dwa spore kwaskowe jabłka pokrajać w płatki. Dwa żółtka zmieszać z pół szklanką najlepszej pszennej mąki, wsypać szczyptę soli, rozprowadzić półtora szklanką mleka, zmieszać z pokrajanymi jabłkami, białka zbić na sztywną pianę, wymieszać z tem ciastem. Na dużej patelni rozpuścić dużą łyżkę masła, wlać na to ciasto, zrumienić od spodu, zmniejszyć ogień i smażyć wolniutko, aż ciasto i po wierzchu się ścinać znacznie; wtedy ostrym nożem rozkrajając je na sześć części w gwiazdę, przewrócić zręcznie każdą część, aby się i z drugiej strony zarumieniło; jeśli trzeba, podłożyć jeszcze nieco masła. Przykryć pokrywą lub talerzem. Ogień pod maszynką zgasić i podawać zupełnie. Gdy przyjdzie kolej na grzybek, przełożyć go na talerz, posypać obficie cukrem, utłuczonym z cynamonem, i podać gorący na stół.

2) Rosół z włoskimi kluseczkami.

Kurczę z koperkowym sosem i ryżem.

Jabłka duszone.

Wziąć spore kurczę; jeśli już jest oprawione, opalić je jeszcze na ogniu maszynki z pozostałych włosków i umyć starannie; jeśli jest w pierzu, zagotować wody, do wrzącej zanurzyć na chwilę kurczę, poczem powtórzyć to w zimnej wodzie, a pierze zejdzie łatwo, jak rękawiczka. Osmalić włoski, wyjąć wnętrze, kiszki odrzucić, żółć z wątróbki starannie wyciąć, pępek (żołądek) rozkrajając i oczyścić, wewnątrz usuwając wysięcającą go grubą skórę. Kurczę zalać półtora litrem wody, włożyć całą oczyszczoną marchew, pół pietruszki i gałązkę kopru. Zagotować, zszumować, knot przykręcić i gotować na wolnym ogniu, aż kurczę zmięknie, co można poznać, wtykając weń widelec. Gdyby się rosół nadto wygotował, dodać szklankę zimnej (nigdy gorącej) wody i raz jeszcze zagotować. Wsypać pół szklanki włoskich drobnych kluseczek, pogotować aż zaczną mięknąć (dojdą w gnieździe), zdjąć z ognia i całym garnkiem wstawić w gniazdo. Mieć ryż, namoczony wigilją wieczorem w zimnej wodzie (około trzech ćwierci szklanki ryżu), zalać go wodą aby dobrze objęło, włożyć łyżkę masła i dusić na bardzo małym ogniu aż zmięknie, osolić i wstawić w drugie gniazdo. łyżkę niedużą masła wrzucić, zasmażyć na biało t. j. nie rumieniąc z łyżką mąki, rozprowadzić rosołem, zagotować, wsypać łyżkę drobniuchno usiekanego koperku, łyżkę śmietany, zagotować raz jeszcze, odstawić. Trzy duże winkowate jabłka, nie obierając, pokrajać na ćwiartki, włożyć w rondelk z filiżanką cukru, kawałeczkiem cynamonu, dwoma gwoździkami i pół szklanką wody, przykryć bardzo szczelnie rondelk, postawić na maszynkę, zagotować raz, poczem knot przykręcić i dusić na wolnym ogniu. Kurczę wyjąć, rozkrajając na części, ułożyć na ryżu, polać sosem, którego powinno być obficie, wstawić w gniazdo, aby potrawka nie ostygła. Podawać zupełnie; zanim się zje zupełnie i mięso, jabłka zupełnie się uduszą. Je się je na gorąco. *Pani Elżbieta.*



GRZYBY

Grzybobranie jest jedną z najmilszych i najbardziej rozpowszechnionych rozrywek wiejskich, w wielu okolicach kraju prawie jak sport traktowanych i równie jak wszelkie sporty, pożytecznych dla zdrowia. Tylko ten, kto próbował wczesnym rankiem na uperlonym rosą mchu poszukiwać aksamitnych borowików, podosiniaków i mochowików, kto, siedząc w wonnej trawie, wycinał rosnące zwartemi kępkami kurki (na kresach liściskami zwane), kto w sosnowym borze zbierał wspaniałe, rumiane rydze — ma pojęcie, jaką takie prawie polowanie jest rozkoszą.

Wszyscy, co tego sportu próbowali, zapalają się doń zwykle, natomiast większość mieszkańców miast wcale grzybów nie zna i zbiera wraz z cennymi smacznymi grzybami jadalnymi rozmaite, zupełnie niejadalne, a nawet trujące bedłki.

Są wprawdzie rozmaite ilustrowane i kolorowane przewodniki grzybobrania; rysunki w nich są przeważnie tak bajecznie kolorowe, że chyba o jaskrawym, biało nakrapianym muchomorze jasne pojęcie dają.

Chcąc się nauczyć rozpoznawać grzyby, należy pierwsze kilka lub kilkanaście wycieczek zrobić w towarzystwie doświadczonej, znającej wszystkie jadalne gatunki, osoby. Jest to tembardziej konieczne, ponieważ każdy prawie grzyb jadalny ma swój prawie sobowtór trujący — naprzykład, kurka jadalna tem się tylko od swej trującej siostry różni, że pod spodem ma podłużne żeberka, kiedy tamta jest jakby drobnymi punkcikami, w rodzaju łebków od szpilek, pokryta; z wierzchu zupełnie jednakowo wyglądają.

Grzyb prawdziwy, borowik, pod wpływem światła lub cienia, takiego lub innego gatunku drzewa, pod którym rośnie, zupełnie zmienia kolor i bywa jasno i ciemno brązowy, żółtawy, popielaty, a nawet i biały. W sąsiedztwie jego zwykle rosną zupełnie z czapeczek do niego podobne psie grzyby, które dopiero po ścięciu nieraz, po białej odwrotnej stronie, pokryte żeberkami, i nieco lepkiej powierzchni od prawdziwego borowika odróżniamy.

Borowiki są najsmaczniejszymi i najbardziej pożytecznymi z grzybów. W kuchni znajdują one szerokie zastosowanie. Wszyscy znamy borowiki smażone i duszone w śmietanie, zupy czyste i bielone z borowików natomiast mniej znane są u nas pierogi ze świeżymi

grzybami, pierogi ukraińskie w drożdżowym lub hreczanem cieście i kulebiaki rosyjskie w cieście półfrancuskim lub kruchem. Konserwować się dają borowiki doskonale w najrozmaitszy sposób; sparzone i osolone, dają się trzymać zimą całą, byle dbać o to, aby rosół pokrywał grzyby i pleśń się do nich nie zakradła. Jeszcze pewniejszym, chociaż może kosztownym, sposobem jest konserwowanie ich w maśle. Jadłam takie borowiki w trzy lata po ich przyrządzeniu; masło, naturalnie, trzeba było usmażyć, same zaś grzyby były jak dopiero co zebrane. Borowiki, zamarynowane w occie, stanowią wyborną przekąskę do wódki i dodatek do najwykwintniejszych sałat i sosów. Większe borowiki, suszone i naniżane na grube nici tak, że formują jakby wianki, całą zimą, w poście szczególnie, używa się na smak do zup i sosów i na przeróżne smakowite pierożki i paszteciki.

Młode grzybki, krajane w paski i suszone w cieniu, po wymoczeniu w mleku i uduszeniu w maśle ze śmietaną, nie ustępują świeżym.

Najmniej znanym jest proszek borowikowy. Starsze, zdrowe grzyby suszy się tak mocno, aby można je było utłuc w młynku na miazgę; proszek ten zsypuje się do butelek i przechowuje starannie zakorkowany, aby nie zwilgotniał i nie stracił aromatu. Łyzeczka takiego proszku dodaje smaku i aromatu każdej kwaśnej zupie, jarzynie, mięsu lub sosowi, zastępując doskonale tak reklamowany ekstrakt „Maggi”, który jest niczem innym, jak umiejętnie spreparowanym wyciągiem grzybowym. Ze względów oszczędnościowych powinniśmy go zastąpić krajowym proszkiem, a kto proszku nie lubi, wygotowanym smakiem z suszonych grzybów. Wszak Maggi jest produktem zagranicznym i nie powinniśmy go używać, chyba w ostateczności.

(d. c. n.)

Pani Elżbieta

PRZEPISY GOSPODARSKIE

JABŁKA W KOPERTACH

Z funta mąki, jednego żółtka i dwóch białków, herbatniej łyżeczki masła, pół łyżeczki soli i odpowiedniej ilości wody nagnieść ciasto dosyć wolne, któreby się jednak dało wałkować. Rozwałkować do grubości centymetra, posmarować pół funtem zimnego masła (masło powinno być tłuste i bite przed paru tygodniami, jeżeli masło zbyt młode, ciasto się nie uda). Masło powinno być na środku



ciasta, brzegi tego ostatniego złożyć tak, aby przykryły masło, poczem rozwałkować znowu do uprzedniej grubości (centymetra), uważając, aby się masło nigdzie nie wymknęło, złożyć ciasto we czworo i powtórzyć to jeszcze raz; wynieść ciasto na lód lub do zimnej piwnicy.

Tymczasem obrać dwanaście do piętnastu sporych jabłek, wybić rurką ich środki z ziarnkami i utłuc ćwierć funta cukru z cynamonem. Zimne ciasto rozwałkować jeszcze dwa razy, składając je poczwornie; ostatni raz rozwałkować jak można najcieniej i pokrajać na tyle kwadratów, ile mamy jabłek; na środku każdego kwadratu położyć jabłko w środek otworu, pozostałego po ziarnkach, wsypać cukier z cynamonem, cztery rogi ciasta zebrać u góry i ścisnąć mocno ich koniuszeczki. Boki posmarować żółtkiem, rozbitym z herbatnią łyżeczką mleka lub wody i szczyptą cukru (uważać, aby nie smarować brzegów ciasta, gdyż nie mogłoby rosnąć). Piec w bardzo gorącym piecu. Gdy się dobrze ciasto zrumieni, są gotowe.

Można je jeść na gorąco i na zimno. Do nich się podaje oddzielnie cukier, utłuczony z cynamonem.

JABŁKA Z KREMEM

Na sześć osób obrać dwanaście kwaskowych sporych jabłek i wyjąć z nich rurką środek z ziarnkami. Upiec te jabłka lub ugotować w wodzie; w pierwszym lub drugim wypadku uważając, aby się nie rozpadły.

Pół kwarty gęstej słodkiej lub kwaśnej śmietany ubić na krem, dodać pół szklanki cukru, utłuczonego z calowym kawałkiem wanilii. Ostudzone jabłka ułożyć na półmisku; w każde włożyć łyżeczkę konfitur, pokryć kremem, ubrać po wierzchu takimi samymi konfiturami i wydać natychmiast. Gdyby potrawa musiała stać czas jakiś przed podaniem, trzymać ją na lodzie.

KAPUSTA NADZIEWANA W CAŁKU

Każdą kapustę: białą, włoską a nawet czerwoną można poda-

wać nadziewaną. W tym celu wybiera się głowę dużą, lecz miękką, nieściłą. Wkłada się ją na chwilę parę w duże naczynie z wrzącą wodą, wyjmuje na stolnicę i ostrożnie rozkłada, oddzielając listek za listkiem. Z pół kilo, mniej więcej, w zależności od rozmiaru kapusty, mięsa wołowego, baraniego lub wieprzowego, tłustego bardzo (gdyby mięso było chude, należy około ćwierci tej ilości zastąpić łojem, pięciu cebul. przesmażonych w maśle, paru łyżek ryżu, oddzielnie ugotowanego, pieprzu i soli do smaku, robi się nadzienie, układa cieniułkami, zgrabnemi warstwami pomiędzy liśćmi kapusty, związa te liście tak, aby głowa nabrała uprzedniego kształtu, związuje mocno grubemi nićmi, kładzie do dużego rondla na rozpuszczoną łyżkę masła lub szmalcu i dusi, wciąż przewracając przez parę godzin. Gdy się kapusta ze wszystkich stron ładnie na tłuszczu zarumieni, należy rondel przykryć pokrywą, aby się dokładnie do samej głębi przegotowała.

Gdy zupełnie miękka, wyjmuje się ją na okrągły, duży półmisek, zdejmując z niej nici, kraje na części jak pomarańczę, jednak uważając, aby się nie rozpadła i zachowała kształt całej głowy. Do niej oddzielnie podaje się w sosjerce sos, który się uformował przy duszeniu kapusty, zaprawiony mąką, rosołem i, jeżeli jest, paru łyżkami śmietany.

KAPUSTA WŁOSKA Z SOSEM POMIDOROWYM

Małe, twarde główki włoskiej kapusty pokrajać na ćwiartki i ugotować w solonej wodzie. Odcedzić na durszlaku, dać przestygnąć dobrze.

Metalowy półmisek posmarować masłem, ułożyć na to kapustę, przekładając każdą ćwiartkę plasterkiem gotowanej szynki, bardzo tłustej, lub boczką (można też kłaść pomiędzy kapustę nieduże parówki). Osypać obficie tartą bułeczką, zmieszaną z ostrym serem, położyć na wierzch małe kawałki masła i wstawić w piec dla zrumienienia.

Zrobić sos pomidorowy, biorąc świeże lub konserwowane pomidory, przesmażyć je z masłem i cebulką krajaną, przefasować przez sito, zaprawić mąką, rozprowadzić rosołem lub wodą, dodać dobrej śmietany i na koniec łyżeczkę herbatnią najlepszego masła. Podać paru łyżkami tego sosu kapustę, a resztę podać w sosjerce. Pani Elżbieta

DOBRE RADY

Aby wytępić szczury, należy wziąć zwyczajnego łożu, używanego do robienia świec, zaprawić emetykiem i powkładać nory, gdzie się gnieźdzą. Ś odek niezawodny, ale niebezpieczny również dla zwierząt domowych.

* * *

Liście oleandru ususzyć, utłuc na proszek i sypać do nor, w których się myszy gnieźdzą. Odór ten jest dla nich tak wstrętny, że się natychmiast wynoszą. W mieście środek ten jest znakomity, na wsi mniej, gdyż oleander szkodzi owcom, kozom i osłom.

Korespondencje działu praktycznego

P. M. F. z Małopolski.

Monogramy na obrusach średniej wielkości umieszcza się na środku szerokości obrusa tak wysoko, aby monogram wypadł nad talerzem. Na dużych obrusach — na samym środku. Na serwetkach i serwetkach umieszcza się monogram w rogu tak, aby się nie załamował przy złożeniu serwetki na skos.

Na poszewkach i jaśkach najlepiej umieścić monogram nad za pięciem. Na podpinkach — w środku wykładu, od strony twarzy.

„A“.

Jeśli bielizna jest pożółkła, należy po wypraniu i wygotowaniu namoczyć ją na kilka godzin w zimnej wodzie, do której się dołaje na 30 litrów wody 4 dkg terpentyny francuskiej i 12 dkg czystego spirytusu

Nie wyciskając bielizny zbyt mocno, powiesić ją na słońcu, a gdy wyschnie, raz jeszcze wypłókać w czystej wodzie, farbkować i krochmalic jak zwykle.

Na resztę zapytań odpiszemy po powrocie dr. Switalskiej z Paryża.

P. Zofji Z.

Grzyby można przechowywać w woreczkach płóciennych w miejscu przewiewnym i suchym lub w słoju szklanym.

P. Olimpii D.

Sposób robienia mydła w domu jest zbyt długi, aby go można było umieścić w odpowiedziach. Podamy go niebawem w „Bluszczu.“

P. J. Sz.

Desen na ciemny materiał przenosi się za pomocą białej lub żółtej kalki, którą można kupić tak, jak niebieską, w składach przyborów rysunkowych. Wzory podamy w „Bluszczu.“

Opis sukien i robót do Nr. 35

661. Kostjum z granatowego sukna Kamizelka i kołnierz z białego sukna.

662. Kostjum z wełny piaskowej, przybrany aksamitem koloru orzechowego.

663. Ubranko dla małego chłopczyka z granatowej lekkiej wełny. Kamizelka biała.

664. Palto z rypsu wełnianego koloru ciemno brązowego.

665. Kostjum z ciemno popielatego sukna, przybrany futrem.

666. Kostjum z granatowej gabardyny, przybrany rogowemi guzikami.

667. Szlafrok z deseniowego woalu, wykończony plisowaną falbanką z georgettey w odpowiednim kolorze i gładką plisą tegoż koloru, co falbanka.

668. Suknia domowa z surowego jedwabiu w paski, przybrana szarfą w odpowiednim kolorze.

669. Suknia wizytowa z crêpe marocain koloru cyklamen, wykończona ciemniejszą jedwabną plisą w tym samym tonie.

670. Szlafroczyk z deseniowej flaneli dla małego chłopczyka.

671. Nocna koszulka, przybrana kolorową plisą, dla małej dziewczynki.

672. Nocna koszulka dla małej dziewczynki, wykończona ręcznym haftem.

673. Majtki ze stanikiem dla małego dziecka.

674. Sukieneczka dla małego dziecka z białej flaneli, wykończona kolorową plisą i ręcznym haftem.

675. Kombinacja dla dziewczynki. Koszulka i majteczki, wykończone falbaneczką.

676. Sukieneczka z białej flanelki dla małego dziecka. Kołnierz i pliska u dołu koloru ponsowego.

677. Wzór na poduszkę. Haft kolorowy. Wielkość 32×42 cm.

678. 680. Narożniki do poszewek. Haft richelieu.

679. Szlak do poszewki. Merezka i angielskie dziurki.

UWAGA: Powiększone wzory robót, umieszczonych w Dodatku Mód, można nabywać w Administracji „Bluszczu“ po cenach następujących: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50; drobne desenie gr. 75.

Nadesłane do Redakcji

(Za dział ten Redakcja nie odpowiada)

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

P. H. W. w Dąbrowie Górniczej. Ma Pani rację, że wszystkim defektom skóry winna woda. Twarda i nieodpowiednia woda do mycia jest największym wrogiem ładnej, świeżej cery. Żeby ją zmiękczyć i uczynić odpowiednią do mycia, radzę 1½ — 2-ch litrów wody ciepłej dodawać łyżeczkę proszku LA MOLLETTE. Woda, po rozpuszczeniu w niej LA MOLLETTE, niech postoi parę godzin i dopiero używać ją do mycia. Aby zapobiec tworzeniu się zmarszczek, radzę używać KREM ABARID i myć twarz OTRĄBKAMI ABARIDOWEMI, a nie mydłem. Chcąc się pozbyć wrażenia suchości i ściągnięcia skóry, które Pani stale odczuwa, radzę nacierać twarz kilka razy dziennie wata, zmoczoną w płynnym GOLDKREMIE ABARIDOWYM. Co do wygładzania rąk i ramion, to PATE DE PRELATS, wcierane codziennie zaraz po umyciu w wilgotną jeszcze skórę, działa nadzwyczajnie. *M-me Ercedès*

Środki, tu wymienione, są do nabycia we wszystkich pierwszorzędnych perfumerjach i składach aptecznych. Skład główny: Warszawa, ul. Szpitalna 10, perfumerja „Perfection.“

NISZCZENIE WŁOSÓW wywołujemy często sami, drażniąc skórę różnorodnymi płynami, mydłami i szamponami o zawartości sody gryzącej. Do racjonalnego pielęgnowania nadaje się jedynie Doktor Lustra Shampoo-Miraculum.

TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. rękaw	dług. spodnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.